6 stron z dodatkiem „ŻYCIE KRAJU"

NOWOŚĆ!
JAN GUARESCHI
Mały świat don Camilla
Przekład Jana Bielatowicza
Cena 15/6 z przesyłką.
Do nabycia:
Veritas F. P. Centre,
12, Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 1/6

NOWOŚĆ!
MARIA CZAPSKA
MIŁOSIERDZIE NA MIARĘ KLĘSK
Ilustracje Józefa Czapskiego
Cena z przesyłką 12/6.
Do nabycia:
VERITAS F. P. CENTRE
12, Praed Mews, London, W.2.

ROK VIII. Nr 3/343

LONDYN, 17 STYCZNIA 1954 R.

H. SZABŁOWSKA

PAMIĘTNIK TOMASZA MERTONA

Tomasz Merton, to znany już obecnie w świecie konwertyta i zakonnik, który zdobył sobie rozgłos autobiografią wydaną w Anglii pod tytułem „Elected Silence". Zaskarbił sobie sympatię czytelników jako człowiek i jako pisarz. Jego prosty styl, krótkie zdania i obrazy naszkicowane żywymi kolorami odpowiadają nowoczesnemu człowiekowi. Jeszcze bardziej przykuła uwagę rozbrajająca szczerość, z jaką osądził swe życie i opisał nawrócenie. Książka ta miała charakter religijny przede wszystkim, bo choć Merton nie cofał się przed opisem swego hulaszczego życia przed nawróceniem, głównym motywem autobiografii było działanie łaski Bożej, która różnymi kanałami wsączała się w jego życie, doprowadziła wreszcie do nawrócenia i przywiodła do klasztoru cystersów. Opisy przeżyć religijnych, najpiękniejsze części książki, uwydatniły siłę przeżycia, które udzielało się czytelnikowi i można przypuszczać, że książka stała się powodem wielu nawróceń.

„The Sign of Jonas", to dalszy ciąg autobiografii. Tomasz Merton, a raczej brat (a poźniej ojciec) Ludwik, zakonnik w klasztorze cystersów w Gethsemani, Kentucky, opublikował swoje notatki, zawierające rozmyślania, wrażenia i refleksje, wynikające z jego życia jako zakonnika. Pamiętnik ma charakter zdecydowanie subiektywny i osobisty. Niewiele wydarzyło się wypadków natury zewnętrznej przez te pięć lat od 1947 do 1952, które opisuje dziennik. Dramat rozgrywa się na płaszczyźnie duchowej. Głównymi protagonistami są łaska Boża i dusza Mertona. Życie klasztorne stanowiło jednak tło i dlatego bez podstawowej znajomości zasad reguły cysterskiej i życia duchowego książka jest niezrozumiała.

REGUŁA CYSTERSKA

Zasady te opisuje Merton w prosty, sobie właściwy sposób.

„Opactwo cysterskie, to przeważnie jakiś cichy zakątek świata, z dala od uczęszczanych dróg, gdzieś na uboczu, zamieszkały przez zespół siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu mężczyzn, którzy prowadzą ciche, energiczne życie, skoncentrowane wyłącznie na Bogu. Modlitwa i pokuta, życie liturgii, studia i praca fizyczna, oto główne jego elementy."

„Fizycznie reguła jest dość uciążliwa. Rekompensatę stanowi wewnętrzny spokój. Zresztą szybko się człowiek przyzwyczaja do niewygód i przekonuje się, że nie są one znowu takie straszne. Siedem godzin snu wystarcza przeciętnemu człowiekowi. Proste wyżywienie utrzymuje normalnego człowieka w dobrym zdrowiu przez wiele lat. Zakonnicy z reguły żyją długo. Można się szybko przyzwyczaić do spania na słomie i deskach. Niejeden zakonnik już z trudem zasypiałby na miękkim materacu."

„Opactwo cechuje zupełna cisza. Nie ma rozmów. Zakonnicy rozmawiają ze swymi zwierzchnikami i kierownikami duchowymi, gdy zajdzie potrzeba. W opactwie cisza jest wszechwładna. Przenika zarówno mury i kamienie, jak i serca ludzkie."

„Utrzymaniem zakonników jest praca na roli. Każdy zakonnik pracuje w polu pięć do sześciu godzin dziennie. Jeśli nie pracuje i nie modli się w chórze razem z innymi zakonnikami, studiuje lub rozmyśla wznosząc się do Boga w modlitwie kontemplacyjnego skupienia. Z czasem dzień cały zmienia się w jedną nieprzerwaną modlitwę, łączącą zakonnika z Bogiem wśród wszystkich jego zajęć. Ten mniej lub więcej przenikający życie habitus modlitwy, ten stan prostej świadomości Boga i zjednoczenia się z Nim jest celem życia zakonnego. Zależnie od pory dnia i formy zajęcia, natężenie modlitwy wzmaga się lub maleje, stanowiąc o rytmie życia każdego zakonnika. Dusza jego trwa w stałym wyczekiwaniu zjednoczenia i nieustannej gotowości na bezpośrednie i dogłębne działanie Boga".

Cystersi składają przy profesji pięć ślubów: ubóstwa, czystości, posłuszeństwa, zmiany obyczajów i stałości miejsca zamieszkania. Ich racją bytu i głównym zajęciem wyznaczonym im przez Kościół jest modlitwa kanoniczna, oficjalna modlitwa Kościoła, wysławiąca chwałę i potęgę Boga w psalmach i hymnach. Ta oficjalna chwalba, nieustanne przebłagiwanie i prośba w imieniu niezliczonych rzesz, które Boga nie chwalą w ogóle, to potencjał duchowy Kościoła, z którego czerpią inni jego członkowie, poświęceni pracy apostolskiej, administracyjnej lub opiece nad ubogimi.

PRZED PROFESJĄ

Merton rozpoczyna swój dziennik dnia 10 grudnia 1946 roku. Pięć lat już minęło od przyjazdu do Gethsemani i Merton zbliża się do dnia, w którym złoży śluby uroczyste. Czas przed profesją, to okres, w którym zakonnik raz jeszcze zastanawia się nad prawdziwością swego powołania. Jest jeszcze wolny, może wrócić do świata. W dzień przed profesją przynosi się do celi kandydata cywilne rzeczy, które przywiózł ze sobą przyjeżdżając do klasztoru. Merton patrzył obojętnie na swoją elegancką walizkę i ładne ubranie. Nie nęcił go świat. W jego życie duchowe wplotły się dwa problemy, tyczące się natury jego powołania i mąciły spokój.

Dręczyła go „pokusa", jak sam ją nazwał, przeniesienia się do zakonu kartuzów, zakonu pustelników, gdzie życie zbiorowe polega tylko na wspólnej modlitwie nocnej w kościele. Resztę nocy i cały dzień spędza każdy zakonnik w zupełnej samotności. „Dla siebie pragnę tylko jednej rzeczy: zupełnej samotności, aby zginąć w Bogu, zatonąć w Jego ciszy, zapamiętać się w tajemnicy Jego Boskiej Twarzy" — pisze Merton na pierwszej stronie pamiętnika. W swym gorącym pragnieniu służenia Bogu jak najlepiej i w swej gorliwości nowonawróconego intelektualisty szuka najdoskonalszego stanu i najdoskonalszego powołania. Aspiracjami sięga do najwyższych stanów mistycznych, które znał z lektury mistyków. Rozmyślanie o Bogu i świadoma modlitwa w każdym momencie dnia, to jego cel i ideał. Jednocześnie daleko mu jeszcze do uporządkowania władz, czystości ducha oraz miłości Boga i bliźniego, nieodzownych warunków kontemplacji mistycznej. Więcej wiedział z przeczytanej literatury religijnej, niż rozumiał z własnego doświadczenia i przeżycia.

Drugim powodem niepokoju Mertona była jego pozycja w klasztorze jako mnicha-pisarza. Reguła cysterska przewiduje pracę na roli, a Merton przepędza godziny pracy nad maszyną do pisania. Pozornie praca umysłowa nie przyspasabia tak do modlitwy, jak praca fizyczna. Pierwsza absorbuje umysł i mąci spokój wewnętrzny, druga pozostawia umysł wolny i serce gotowe do prostej modlitwy w ciszy i pokornej adoracji. „Praca w polu pomaga kontemplacji — pisze Merton. — Wczoraj pracowaliśmy na dolnym polu, rozrzucaliśmy nawóz pokrywając nim szare błoto pola. Byłem tak szczęśliwy, że miałem ochotę śmiać się w głos. Co za odprężenie oderwać się od maszyny do pisania!"

Merton prosi, by zwolniono go od obowiązku pisania, a jednocześnie rwie się, by wyładować swój niewątpliwy talent. Gdy pisze, usprawiedliwia się przed Bogiem i sobą, jakby pozwalał sobie na zbytek. Nie wie, czy uleganie popędowi twórczemu jest zgodne z jego powołaniem, tym bardziej że upojenie twórcze i nieuporządkowana wyobraźnia przeszkadzają mu w modlitwie. Prowadzi go jednak pewna ręka przełożonego i usankcjonowane jego nakazem autorstwo Mertona okazuje się niezmiernie owocne. W 1947 roku zostaje wydana pierwsza autobiografia Mertona p. t. „Elected Silence". Merton staje się sławnym. Do klasztoru zaczynają napływać stosami listy czytelników. Merton zarzucony tą korespondencją ze świata, od którego uciekł, zżyma się i narzeka. Nie widzi jeszcze w tej korespondencji jawnego dowodu owocności jego pracy, owocności służby, której domagali się od niego przełożeni. Sukces autorski cieszy wprawdzie Mertona, ale nie jest to jeszcze radość apostoła. Korespondentom swym odsyła drukowane karteczki z obietnicą modlitwy. Obietnicę tę pilnie wypełnia i modlitwa staje się ważnym elementem w jego zrozumieniu miłości do ludzi.

Mimo wszelkich swoich wątpliwości, Merton jest przekonany, że pozostanie w Gethsemani, to jedyna dla niego droga. Dzień uroczystych ślubów zakonnych, które złączyły go z habitem i z Gethsemani na resztę życia, przyniósł refleksje, które zdawałyby się zupełnym zaprzeczeniem jego dotychczasowych trudności. Refleksje te są jakby początkiem narastającego nowego zrozumienia jedności i wspólnoty ogólnoludzkiej, miłości do bliźniego i świata. Oto co pisze w dzień po złożeniu ślubów uroczystych: „Dzień wczorajszy będę zawsze pamiętał jako dzień specjalnej łaski Bożej. Z uroczystości składania ślubów zakonnych pozostało mi wrażenie głębokiej jedności ze wszystkimi innymi zakonnikami. Właściwie nie wiem czego się spodziewałem po dniu profesji. Kiedy myślę o nim teraz, jestem zupełnie przekonany, że zrobiłem dobrze składając śluby zakonne i że ofiarowałem się Bogu w najlepszy, dla mnie dostępny, sposób. Ogarnęło mnie przy tym uczucie spokoju i ukojenia, gdy zdałem sobie sprawę z serdecznej więzi, która się nawiązywała między mną a zgromadzonymi zakonnikami. Od tej chwili jestem częścią Gethsemani."

ŻYCIE KLASZTORU

Merton opisuje również w pamiętniku ważne wydarzenia z życia swojej nowej rodziny. Ważnym wydarzeniem 46 roku było założenie fundacji w Utah. Wobec ciągle wzrastającej liczby zakonników, których Gethsemani nie mogło już pomieścić, było to koniecznością. Rodzina cysterska w Gethsemani, licząca około 200 osób, musiała pożegnać trzydziestu trzech ze swych braci, którzy jechali założyć nowy klasztor. Merton opisuje scenę pożegnania. „Kompleta była wcześnie tego wieczoru. Wyszliśmy wszyscy do bramy około 7.30. Było już prawie ciemno. Rzędem stały samochody, które miały zabrać odjeżdżających na stację. Zakonnicy i bracia kręcili się koło bramy żegnając się bezdźwięcznie językiem znaków i obejmując się nawzajem według zwyczaju cysterskiego. Ojcu przełożonemu śpieszyło się, by zakończyć tę scenę i pierwszy zapuścił motor swego samochodu i ruszył, ale inni nie kwapili się za nim. Odszedłem jeszcze przed odjazdem ostatnich i skierowałem się ku wielkim ciemnym zabudowaniom klasztornym."

W tym samym roku do Gethsemani przyjechał opat generalny całego zakonu na wizytację. Merton pracował w roli jego sekretarza i tłumacza. Rok 1948 przyniósł śmierć dom Frederic'a, opata Gethsemani, pierwszego opata Mertona. Wybór nowego opata i związana z tym uroczystość głębokie wywarły wrażenie na Mertonie. „Wybory trwały od siódmej czterdzieści pięć do dwunastej czterdzieści pięć rano, razem z konfirmacją i intronizacją ojca James'a, który oczywiście został wybrany. Nie trudno się było domyśleć, że on właśnie był kandydatem Ducha Św., nawet gdy się popatrzeć z naszego przyziemnego punktu widzenia. Kiedy byliśmy w kapitule, słyszeliśmy wybuch magnezji fotografa na zewnątrz. Jakiś dziennikarz dostał się do ogrodu i zrobił zdjęcie dymu wychodzącego z rury od pieca, w którym paliliśmy karteczki wyborcze. Dom Gabriel powiedział kilka słów na ten temat i to całkiem nie łagodnych. To co nastąpiło wyryło się głęboko w pamięci. Kiedy skończyliśmy wybory, wynik ogłoszono u progu kapituły, kościoła i u bramy klasztoru. Następnie otworzono drzwi do klauzury i nowicjusze, młodsi mnisi i konwersi weszli do sali. Kapitan Kinarney wsunął się między krużganki i przysiadł na ławce. Potem śpiewając Te Deum ruszyliśmy gromadnie do kościoła. Po powrocie do kapituły ci, którzy nie głosowali, siedzieli spokojnie i czekali na moment intronizacji, trochę niepewni co mają robić dalej, podczas gdy zakonnicy składali przysięgę posłuszeństwa ojcu James'owi. Była to wzruszająca scena. W dużym pokoju, naładowanym po brzegi ludźmi, panowała zupełna cisza. Szereg zakonników poruszał się wolno ku tronowi ojca James'a. Na stole leżały porozrzucane papiery. Krzesła w koło stały puste, tylko ojciec Macarius, który spełniał rolę notariusza pisał zawzięcie. Pora obiadowa już dawno minęła, a my nie odmówiliśmy jeszcze tercy i seksty. Ja musiałem co chwila wybiegać z jakimiś poleceniami ojca Gabriela.

Kiedy skończyły się uroczystości, mieliśmy znowu za opata bardzo świątobliwego człowieka. Co za pociecha zobaczyć w chórze swojego własnego opata, który rozpoczyna i kieruje wszystkimi czynnościami liturgicznymi! Ojciec James przy tym jest cichy i pokorny."

U STOPNI OŁTARZA

Wśród temu podobnych opisów wrażeń snuje się opowieść o przemianach duchowych Mertona. Przemiany te stanowią pewien wątek, który utrzymuje uwagę czytelnika w stałym napięciu. Mają one swój początek, stadia rozwojowe i punkt kulminacyjny, a dla czytelnika są tym bardziej porywające, że dają wgląd w prawdziwe przeżycia człowieka.

Wspomniane na początku artykułu trudności wewnętrzne Mertona, jego zmagania się z problemem twórczości i powołania nie ustępują bynajmniej z chwilą profesji. Jeszcze w kwietniu 1949 roku, dwa lata po złożeniu uroczystych ślubów z rozczuleniem cytuje w pamiętniku list od generała kartuzów. Z problemem twórczości ma ciągle trudności przez całe pięć lat opisanych w pamiętniku. Trudności te jednak mącą zaledwie powierzchnię duszy i nie są w stanie zatrzymać ogromnego rozrostu życia łaski. Z prostych wypowiedzi niewątpliwie szczerych wyznań Mertona jasno wynika, że niemałą rolę odegrała pod tym względem reguła, która, skrupulatnie zachowywana ze swymi niezmiennie dzień w dzień powtarzającymi się godzinami modlitwy, wypoczynku i pracy, wdrażała w psychikę równowagę i spokój. Przy tym zawartość myślowa liturgii i powtarzane codziennie przez lata psalmy, które tak początkowo rozpraszały uwagę Mertona, wpływały systematycznie na jego stosunek do Boga. Niewątpliwie największy wpływ na jego przemiany duchowe miało kapłaństwo, dzięki starannemu przygotowaniu się doń i dzięki łasce sakramentalnej.

Ciekawy jest proces przygotowawczy do poszczególnych stopni święceń wyższych. Czytając pamiętnik z tego okresu widzimy, jak dojrzewało w nim pełniejsze zrozumienie i przeżycie teoretycznie dotąd znanych prawd. Drugiego grudnia 1948 roku Merton pisze: „Rozmyślając o subdiakonacie zdałem sobie sprawę, jak jednostronne i surowe były moje pojęcia o moim powołaniu nawet do tej chwili. Powierzono mi bardzo określoną funkcję do spełnienia, funkcję chwalenia Boga w oficjalnej modlitwie Kościoła za Kościół i za całe stworzenie. Mam to robić publicznie i tak dobrze, jak tylko potrafię za tych wszystkich, którzy nie mogą tego robić wcale. Od tego zależy więcej, niż moja własna dusza. Kościół Walczący będzie miał się lepiej lub gorzej, zależnie od tego, jak ja spełnię swoje zadanie w chórze i jak pomogę innym spełnić je jak najlepiej."

Podczas rekolekcji adwentowych tego samego roku odkrywa na nowo podręcznik duchowy cysterski i z pełnym zrozumieniem płynącym z doświadczenia rozważa regułę cysterską. „Odzywa się we mnie z wielką siłą szacunek i miłość do przepisów reguły, do życia zbiorowego i do poddania się zwierzchnikowi przez posłuszeństwo."

W dzień Bożego Narodzenia Merton pisze już jako nowowyświęcony subdiakon: „Wczoraj w nocy w czasie pasterki asystowałem po raz pierwszy w roli subdiakona. Oto co mnie najbardziej uderzyło. Czułem się w manipularzu i dalmatyce tak dobrze, jak bym nosił je przez całe życie. Śpiewając lekcję i służąc przy ołtarzu miałem wrażenie, że niczego innego nie robiłem od dziecka. Czułem instynktownie niemal, że tu i nie gdzie indziej jest moje miejsce. Uczucie to było tak silne, że w owej chwili jakakolwiek czynność nie związana ze służbą przy ołtarzu wydawała mi się obca i trudna."

W drugim okresie przygotowawczym zaczyna rosnąć w Mertonie poczucie uniwersalizmu Kościoła, wielkiej misji nawracania dusz i polecania ich Bogu w nieustannej modlitwie przebłagania. Oto co pisze dwunastego stycznia: „A może jedną z funkcji zakonnika w klasztorze kontemplacyjnym jest pomóc innym zrozumieć słowem lub przykładem, jak dalece są zdolni do miłości Boga, a raczej jak bardzo już Boga kochają nie zdając sobie z tego sprawy". Na ten sam temat pisze czternastego czerwca: „Kapłan nie jest kapłanem dla swojego własnego uświęcenia przede wszystkim, ale jest kapłanem Ofiary Chrystusowej i Ewangelii Chrystusowej dla ludzi i dla świata. Oczywiście implikuje to również doskonałość osobistą, ale doskonałość ta polega przede wszystkim na składaniu Ofiary Chrystusowej możliwie jak najdoskonalej w swoim imieniu i w imieniu Kościoła."

Ciężar tych prawd zaczyna Merton odczuwać coraz bardziej. Uświadamia sobie, że gdy za cztery dni zostanie diakonem, zbliży się znowu o duży krok do przyjęcia na siebie na zawsze tak ogromnej odpowiedzialności. „Pierwsza rzecz, która narzuca się ciągle świadomości w związku z diakonatem, to jego ważność. Im więcej o tym myślę, tym bardziej sobie zdaję sprawę, że istotnie jest to wyższe święcenie. Wymaga się od ciebie, byś był podporą Kościoła. Musisz zwalczać zastępy szatańskie."

Mimo tak wielkiej odpowiedzialności związanej z diakonatem, Merton z radosnym sercem odprawia swoje pierwsze nabożeństwo wieczorne. „Przez całe nabożeństwo z niepokojem czekałem momentu podniesienia Hostii Przenajświętszej. Obawiałem się, że cały kościół może zwalić mi się na głowę z powodu mojej grzesznej przeszłości, tak jakby nie było mi to jeszcze wybaczone. Tymczasem Bóg nie waży wcale nic. Choć zawiera w sobie więcej niż wszechświat, był tak lekki, że o mało co nie spadłem ze stopni ołtarza.

(Dokończenie na str. 6)

SED CONTRA

CASUS DOBRACZYŃSKI

I. Odpowiedź redakcji „Dziś i Jutro" na apel p. Kossak-Szczuckiej wielce mnie zastanowiła. Nie żeby ci panowie powiedzieli mi coś nowego. Pisali na przeszło ośmiu szpaltach, jak ta pokojowa sprawa Dzierżyńskiego i Stalina jest dobra i Boża; jak to p. Kossak-Szczucka jest w gruncie rzeczy agentką hitler-adenauerowską; jak to Prymas Polski niczego nie rozumie w sprawach Kościoła, tylko akurat p. Buchała. że w Polsce cudownie. Nie było naprawdę powodów do zastanawiania się.

A jednak rzecz mnie zastanowiła. Zadałem sobie mianowicie pytanie, jaką drogą ta (na szczęście nieliczna) grupka ludzi stoczyła się aż na takie dno moralnej nędzy i głupstwa. Na pewno wiedzieć, rzecz trudna, bo na to trzeba by być tam i każdego z nich znać z bliska; można najwyżej wysuwać hipotezy. Mnie, na przykład, nasuwają się co najmniej cztery:

1. Kupili ich widokami lepszej stołówki, kariery itp.

2. Zastraszyli ich lochami U. B.

3. Zagadali ich ciągłą propagandą.

4. Wzięli ich na ambicję, przy notorycznym niedouctwie wielu z nich w sprawach wiary.

Nie trudno zauważyć, że jeśli o grupkę jako całość chodzi, żadna z tych hipotez nie wystarcza; sądzę jednak, że, razem wzięte, tłumaczą zjawisko dostatecznie. Geniusz taktyczny bolszewików polega w znacznej mierze na tym właśnie, że umieją grać na tych czterech klawiszach. Człowiek słaby, ustawicznie kuszony karierą i zagrożony mękami, gdy zalewają go prawdziwym potokiem propagandy i bezustannie mu podsycają pychę, łatwo wpada, jak wnosić należy, w stan, którego przejawem jest właśnie odpowiedź dana p. Kossak-Szczuckiej i, co gorsze, zdrada Dobraczyńskiego. Wydaje mi się, że to uczone dawkowanie pokus i gróźb, skombinowane z powszechną atmosferą terroru i „entuzjazmu" stanowi presję bez porównania większą, niż to sobie wyobrażamy. Zresztą nie mam wyboru: to jest jeszcze najżyczliwsze stanowisko, jakie mogę wobec Dobraczyńskiego i innych pomniejszych zająć.

II. Po co jednak takie sądy wydawać? Zaraz wytłumaczę po co. Niech wolno mi będzie mianowicie z całą uprzejmością, na jaką mnie stać, postawić następujące pytanie: jak byśmy to *my* wyglądali w podobnych okolicznościach? A no, pożal się Boże! I oto dlaczego:

— Budujące wypadki ostatniej doby wykazały czarno na białym, ilu to spośród naszych luminarzy myśli o wszystkim innym, tylko nie o dobru sprawy. Nie ulega wątpliwości, że lepsza stołówka stanowiłaby dla nich argument aż nadto poważny.

— Z bardzo nielicznymi wyjątkami spisaliśmy się po ostatniej wojnie wcale nie po bohatersku: jedliśmy z ręki różnych potentatów jak posłuszne pieski, ze strachu przed zgubnymi „konsekwencjami"; a przecież lochami U.B. nikt nam nie groził.

— Nasze stanowisko w *każdej* sprawie narodowej świadczy, że Polak-patriota nie pozwoli ani sobie ani innym żyć czymkolwiek innym, jak tylko tym, co stoi w prasie. Odporność na slogany propagandowe, to na pewno nie nasza zaleta.

— O budującej wiedzy religijnej naszej i jeszcze bardziej wzruszającej pokorze w stosunku do Ojca świętego i Biskupów wolę nie wspominać. Hej! Czego to by się nie widziało, gdyby *nam* przyszło żyć w podobnych warunkach, jak te, które złamały Dobraczyńskiego i niosą Piaseckich. Iluż by było wśród nas Buchałów i innych Czujów-popsujów? Aż strach pomyśleć!

III. Ale i o to jeszcze nie chodzi. Aczkolwiek gorzkie napisałem rzeczy o tej Emigracji, to jednak nie sądzę, abyśmy *świadomie*, przynajmniej jeśli o większość chodzi, mieli z góry ochotę wybrać właśnie stanowisko Dobraczyńskiego, a nie los Ks. Prymasa czy Turowicza. Tylko że dobrymi chęciami piekło brukowane: nie wystarczy chcieć, trzeba jeszcze *móc*. A jest już naprawdę najwyższy czas, aby zacząć się przygotowywać na możliwą walkę: nikt z nas nie wie, czy dożyje następnego roku na wolności. Jeśli zaś o to przygotowanie chodzi, powyższa analiza może się okazać użyteczną. Wynika z niej mianowicie, że kto chce móc zachować się jak na chrześcijanina przystało, powinien *od dziś:*

1. Zrewidować swój stosunek do własnej kieszeni i kariery.

2. Starać się przecież spojrzeć w oczy śmierci i cierpieniu. Chowanie głowy w piasek prowadzi w tamtą stronę, ku Buchale i Kętrzyńskiemu.

3. Nauczyć się samodzielnego, własnego sądu.

4. Wreszcie, poznać swoją wiarę i zdobyć się na tę rzecz tak trudną, a przecież w sprawach duszy najważniejszą: na pokorę wobec Kościoła i jego arcypasterzy.

Program jest, oczywiście, trudny. Znacznie łatwiej jest mówić, że my ani piędzi, ani guzika, niezłomni i tak dalej, a nie czynić niczego dla siebie, ani kroku na ciernistej drodze samowychowania. Ale Ewangelia uczy, że szeroka jest brama i przestronna droga, która wiedzie na zatracenie. Na to zatracenie, którego jesteśmy tak okropnie blisko.

I. M. B.

KS. M. WOJCIECHOWSKI

W OKTAWĘ MODLITW O JEDNOŚĆ KOŚCIOŁA

ABY WSZYSCY BYLI JEDNO

W tygodniu modłów, który przypada stale między 18 a 25 stycznia, modlimy się o to, aby wszyscy stali się jedno, aby przyszedł się dzień realizacji słów Zbawiciela, które On wypowiedział w przeddzień swej Męki we Wieczerniku. Tydzień modłów unijnych zaczyna się wchodzić w zwyczaj w świecie chrześcijańskim i z każdym rokiem zatacza coraz szersze kręgi. Potrzeba modlitwy stała się realną formą, w której się przełamują trudności, nawarstwiane przez wieki. Trudności jednak jest wciąż wiele do przezwyciężenia; jedne są natury doktrynalnej i te są najważniejsze; inne, wyrosłe na przesłankach politycznych, utrzymują się z dziwnym i niezrozumiałym uporem; powstały przesądy, podejrzenia, zakorzenione urazy, nic już wspólnego nie mające z religią.

Jaka jest i była rola Polski w tym zagadnieniu? Nie jest to pytanie bez znaczenia. Spotykamy się tutaj, zwłaszcza ze strony naszych sąsiadów, z przykrymi uprzedzeniami i zarzutami, iż w pracy unijnej nigdy niczego nie zrobiliśmy, a wszelka akcja w tym względzie ze strony Polski była zawsze raczej szkodzeniem. Polacy nie mają zdolności, mówią, do pracy unijnej. Przykro jest tę prawdę, o ile to jest prawda, słyszeć, niemniej przykro jest o niej mówić. Popełniliśmy, to prawda, błędów dużo i to zarówno w przeszłości dawniejszej, jak i w ostatnim okresie niepodległości. Było wiele niezrozumienia. Przykro, ale trzeba się przyznać. Ale przyznając się do błędów, mamy odwagę powiedzieć prawdę i żądać od innych jej zrozumienia, że w naszych dziejach są fakty, jakich nie było u innych. Mamy za sobą Unię Brzeską z 1596 r., która ma tak duży ciężar gatunkowy, iż można by ją uważać za 7/8 wyników unijnych całego Kościoła katolickiego. Kto tego nie widzi, to albo mamy do czynienia z ignoracją, albo też nie jest wykluczona zła wola. Wyciąganie wniosku albo stawianie tezy, jak to czyni p. Baran, ukraiński działacz w Niemczech, iż Polska nie jest zdolna do prowadzenia misyj na Wschodzie, choćby na nie wiem ilu faktach było to oparte, staje się nonsensem o posmaku rasistowskim.

Unia Brzeska stała się faktem, którego nie da się ani zatrzeć, ani przekreślić. Wypracowane zostały metody, które i dzisiaj nic nie tracą na swej atrakcyjności. Wskażę tutaj na wielkiego promotora Unii, jakim był Piotr Skarga. Jego osobowość i zakres jego działania same w sobie są dowodem prawdy. On stworzył literaturę polemiczno-religijną, z którą u nas nic się równać nie może. Tretiak pisze, że Skargi dzieło „O jedności Kościoła" jest najznakomitszym w literaturze polskiej. Bije z niego siła argumentacji, jasność wywodów, potęga erudycji, która podbija czytelnika, piękność słowa, głębia uczucia, którego ton i barwa jest różna, zależnie od tego, do kogo się pisarz zwraca. Wszystko to połączone jest z głębią wiary w stosunku do sprawy, którą podejmuje. Zakreślił on w swoim dziele plan, który po 20 latach był zrealizowany. Przytoczę tutaj jeden tylko urywek z pracy Skargi, jego odezwę do Rusinów, t. zn. do dzisiejszych Białorusinów i Ukraińców.

„Obaczże, narodzie Ruski jako tey Stolicy, na którey tak wiele heretyków siedziało, dufać masz, jako bezpiecznie się jey zbawienia swego zwierzyć masz. Zwłaszcza, gdy sama chodzi, a posłuszeństwa y związków pokoju y miłości z Matką swoją, Kościołem Rzymskim, nie trzyma. A teraz daleko mniej, gdy ręką Bożą dotkniona, o zbawieniu nie tylo twoim, ale y swoim obmyślać nie może. Widzisz, iż światło na Wschodzie zgasło: Obróćże na Zachód, gdzie dłużej trwa, y trwać aż do nocy sądu Bożego będzie.

„Obacz, iż Stolica Rzymska temi jest przywileyami od Chrystusa obdarzona, iż jest podporą Kościoła wszystkiego, w tym, iż nigdy o prawdzie Bożey, y nauce Chrystusowej, zbłądzić nie może. Przetoż żadnym się nigdy ani błędem, ani heretyctwem nie pomazała, ani żadnego heretyka na sobie nie miała.

„O jako wielkie było serce w miłości Chrystusowej onych męczenników Papieżów, którzy z nauką gardło zaraz na plac nieśli: a na szyjach swoich aż do Konstantyna Wielkiego ostre żelazo Cesarzów Rzymskich stępili. O jako droga jest tey Stolice Świętey sukcessja, tak ustawiczną y hoynie płynącą krwią okraszona y utwierdzona; jako jest wielkie, wiary Chrystusowey i słowa jego Boskiego, na tym Pietrze błogosławieństwo. Nie dziwuję się, iż tak mocno stoisz, przesławna Stolico Rzymska: gdyż twoje fundamenty tak drogą krwią we krwi Baranka osadzone są; ciebie Chrystus wynieść nad inne chciał, y mocnym swoim słowem, którym ziemia y Niebo stoi, ukrzepił. Ciebie Piotr y Paweł we krwi swojey szczepił; ciebie trzydzieści i trzey po nich następujący Papieże krwią męczeństwa swego, za naukę Apostolską polali y tak głęboko, abo raczej wysoko (bo budowanie Kościelne na ziemi do Nieba korzenie puszcza) osnowanie swoje założyli, iżeś Kościoła wszystkiego niewzruszoną podporą y opoką została: a żadna cię nawałność, ani okrucieństwo tyranów, ani zdrada heretyków, ani starość dni twoich, podkopać, obalić, y zemdlić nie może.

„Nie mogło być bez tego, abyś też y zachwiać nie miała: zwłaszcza gdy też zli a nie przykładni niektórzy twoje miejsce trzymali: wszakże y w tym błogosławieństwo twoje znaczne było, y więcey cię wsławiło, iż nigdy ich grzechów tym Pan Bóg nie karał, aby który kiedy Papież heretykiem był, abo heretyctwo uradził, y onego pomagał. Złość ludzka nigdyć tego błogosławieństwa Chrystusowego wydrzeć tobie nie mogła: aby ten posag twóy odjęty tobie był, a twoje dziedzictwo niepokalaney nauki zostać się nie miało. Czego y cudownie Pan Bóg tobie pomagał. Bo niektórzy chytro tając błędy swoje, skoro Papieżmi zostali, wnet się odmieniali, a błędliwey nauki zapomniawszy, Katolicką y Apostolską, przykładem innych wszystkich, rozsiewali.

„Każdy z nich aż do tego czasu, by dobrze złych obyczajów był, twóy tobie cale przywiley zachował: żadney błędliwey i kacerskiey nauki nie zaczął, ani pomagał: ale trwając w podaniu Apostolskim, jako wierney prawdy przodków swoich dziedzic, heretyctwa psował.

„I do tego czasu, gdy już lat półtora tysiąca minęło y starości na tobie nie znać, żyjesz, kwitniesz, Kościół rządzisz, heretyki potępiasz, wiarę prawą ukazujesz, y onę między pogaństwem tych czasów naszych szczęśliwie szczepisz. Inne patriarchie ustały y już są w heretyctwie, y drugie w pogaństwo obróciły, abo w ręce pogańskie, za grzechy swe pokazując, niepłodnemi zostali, rodzić już nie mogą: a ty jako Matka płodna, y Sara stara, w zgrzybiałości twey nowe Chrześciany rodzisz: a upadek Patriarchiey Wschodnich nagradzasz.

„Już dzisiaj tych czasów naszych twoje, Stolico Rzymska, ulice, za morze się puściły y na on świat, o którym żadne wieki nie wiedziały, zaszły korzenie winnicy twojey... gdzie tak wiele na zachód y na wschód słońca już dzieci masz, iż się wszystkiey Europie równają.

„I w tym tobie narodzie Ruski, błogosławieństwo Stolice Rzymskiey, nieszczęście Carogrodzkie pokazał Bóg, iż Rzymska zawżdy rodzi jako płodna, pogaństwa do domu Bożego przyczyniając: a Carogrodzka, jako od Matki swey odstąpiła, tak wadę niepłodności wzięła: iż żadnych poganinów potym do wiary świętey nie przywiodła, ani przywodzi.

„Niech cię i to do tey starey twey Matki przywodzi, na którey nie tylo się słowa Chrystusowe, ale i Proroctwa wiela Proroków iszczą: iż ich ducha prorockiego ten czas, y wieki nasze potwierdzają. Przed tysiącem lat y daley tak Leo wielki pisał, gromiąc Carogrodzkiego Patryarchę Anatolego: swe stracisz, mówi, bo cudzego pragniesz, żadne się budowanie nie zostoi, które się na skale od Pana za fundament założoney, (to jest na Rzymskim Kościele) nie buduje. To wielkie proroctwo y dziś doznane, iż Kościoły które od Rzymskiego Kościoła odeszły, poginęły y w błędy zaszły nieznane: a ten fundament Stolice Apostolskiey utraciwszy, upadły.

„Agaton papież tak do cesarza pisze: Stolica Rzymska, którey wy bronicie, nigdy za łaską Bożą heretyctwem zepsowana nie jest y do końca niepokalana będzie, wedle obietnice Chrystusa: prosiłem za cię Pietrze, aby wiara twoya nie ustała. Tegośmy proroctwa doznali, ani ustała, ani heretyctwem pomazała.

„Mikołay wielki papież pisze do cesarza Michała, natchniony duchem prorockim: Przywileje Kościoła Rzymskiego usty Chrystusowymi w Pietrze utwierdzone, wieczne są; od Boga wkorzenione, y szczypione: nachylić się mogą, ale upaść nigdy nie mogą. Te przed panowaniem waszym były y trwały (chwała Bogu) do tego czasu niewzruszone, y po was, y tak długo poki chrześciaństwa staje, trwać nie ułomnie będą... Izali nie tak jest, mówi Skarga, izali tego ręką nie macamy, co on w Duchu św. o przeszłych rzeczach mówił? Trwają y trwać będą te przywileje od samego Chrystusa nadane, których prawdę y stateczność nie tylko Kościół wszystek po wszystkie wieki, ale y to aż do tego czasu naszego przedłużenie potwierdza; iż sam Rzymski jest podporą wszystkiey Katolickiey prawdy, Pasterz wszystkch w Chrystusa wierzących, Mistrz wszystkiego Chrześciaństwa; a Stolica jego słup jest prawdy, skała nigdy nie obalona. Do teyże my ciebie, narodzie Ruski wzywamy. Na niey bezpiecznie nogę twoją postawiwszy, śpieway Pan mię rządzi; a na żadney mi rzeczy nie zeydzie; na dobrey mię paszey posadzi: nad wodą ochłody wychował mię; y nawrócił duszę moję: przeprowadził mię drogami prawdy przez imię twoje."

Odezwa powyższa, jak widzieliśmy wyżej, nie jest niczym innym, jak pełnym i doskonałym traktatem apologetycznym o prymacie św. Piotra i jego następców, Biskupów Rzymskich. Wysuwa Skarga w swym traktacie problem zasadniczy, że warunkiem istotnym w dziele zjednoczenia kościołów jest uznanie prymatu Stolicy Apostolskiej, od której Kościół wschodni, jak i odłamy chrześcijańskie na Zachodzie, odeszły na skutek przyczyn politycznych a nie doktrynalnych. Te ostatnie posłużyły zaledwie jako pretekst, konstruowane były post factum, aby uzasadnić przesłanki polityczne. Prymat Biskupa Rzymskiego, to nie supremacja polityczna, której tak bardzo obawiano się na Wschodzie, lecz władza jurysdykcyjna udzielona św. Piotrowi i jego następcom mocą słów Jezusa Chrystusa: „Piotrze, Tyś jest opoka, a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go... Dam tobie klucze królestwa niebieskiego. Cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebie; cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie..." „Pożądał was szatan przesiać, jako pszenicę, ale ja prosiłem za tobą, aby nie ustała wiara twoja, a ty nawróciwszy się, utwierdzaj braci swoich..." A zatem jedynie na św. Piotrze Chrystus buduje Kościół, który nazywa kościołem swoim: „Kościół mój". Kto by stanął na stanowisku innym, przeciwnym, musiałby tym samym podważyć słowa samego Chrystusa, znalazłby się w sprzeczności i ze słowami Chrystusa i z całą Jego ekonomią zbawcza, gdyż Kościół Chrystusowy służy dla celów zbawczych człowieka, a nie dla celów ubocznych.

Dzisiaj, w dobie wysiłków zjednoczeniowych, ta prawda nic nie straciła na swej aktualności, owszem na tle doświadczeń dziejowych i to bardzo smutnych, w których prowadzi się walkę pod hasłem całkowitej zagłady chrześcijaństwa, zyskała. Kościół nie może połączyć się na zasadach federacyjnych, wolnych związków, czy politycznych, jak mamy tego przykłady w protestantyzmie, ale na zasadzie pełnego i jednego organizmu, Ciała Mistycznego, którego głową jest sam Chrystus, a Jego zastępcą na ziemi jest Biskup Rzymski jako następca św. Piotra.

Sprawa Unii Brzeskiej na naszych kresach w 16 wieku rozkołysała żywioły, które wtedy ze wzmożoną siłą uderzały w Kościół. Słyszymy wtedy z ust Skargi słowa pełne nadziei i optymizmu: „Nie bójcie się, ucichną wiatry, bunty, y podpisy ich, gdy prawda głowę podniesie, a Pan prawdy rozkaże. Co nie z Boga, nie potrwa, nie bójcie się. Prześladować nas mogą: ale do fałszów y błędów swoich nie przywiodą. Sami rychło poginą, ci co z Bogiem y prawdą jego walczą." Czy nie aktualizują się te słowa w dobie obecnej?

Na zakończenie przytaczam modlitwę Skargi o jedność Kościoła: „Boże pokoju, y Pasterzu wielki nasz, fundowniku jedności, Jezu Chryste, któryś przyszedł zbierać a nie rozpraszać: weyrzey na nie, a day im w tey niewoli Pogańskiey, którąś ich dla tego odszczepieństwa dotknąć raczył, serce skruszone; plaga twoja niech się im, tak jak Pharaonowi, na zatwierdzenie y zaślepienie oczu ich nie obraca; ale raczey na powstanie ich, w którym ciebie y twego na ziemi Namiestnika szukając, y do twojey jedności świętey z pokorą się wracając, niechay naydą przed okiem twoim Boskim hoyne miłosierdzie, y z tey niewoley wyswobodzenie ku wolney służbie twojey. Zmiłuy się nad ludem twoim y owcami owczarniey jedney twojey. A tym Ruskim narodom day ten rozum, żeby ich w tak ślepym uporze nie naśladowali, ale raczey imi się korząc, w przybytku domu twego, y w jedności ciała twego osadzeni, y tobie, y braciey swy zgubioney, miłosierdzie twoje wielkie. Amen."

Ks. M. Wojciechowski

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

TAJEMNICA STONEHENGE. Uroczysko w Stonehenge, niedaleko Salisbury, od dawna już przykuwało uwagę badaczy starożytności. Składają się na nie, jak wiadomo, dwa współśrodkowe koła kamienne, z których zewnętrzne utworzone jest przez olbrzymie głazy stojące.

Nie ulega wątpliwości, że było to ongiś miejsce, na którym odprawiano obrządki jakiegoś prastarego kultu. Przez dłuższy czas utrzymywało się uporczywie przekonanie, że kapłanami tego kultu byli celtyccy druidowie, o których wcale dokładne relacje mamy od pisarzy greckich i rzymskich z okresu paruset lat: od mniej więcej roku 200 przed Chr. do r. 400 po Chr., tj. do końca panowania rzymskiego w Brytanii. Otóż w XVII wieku pisarz angielski John Aubrey, który po amatorsku prowadził studia archeologiczne, wyraził pogląd, że uroczysko w Stonehenge pochodzi jeszcze z czasów przedrzymskich i że kapłanami jego byli druidowie. W mniemaniu tym poparli go inni ówcześni pisarze i uczeni. Teza, że koła kamienne w Stonehenge i w innych miejscowościach były świątyniami druidów, zdobyła sobie uznanie zwłaszcza pod koniec XVIII wieku, kiedy w atmosferze umysłowej Europy czuć było zbliżającą się falę romantyzmu. Utwory takie, jak „Ossjan", spreparowany przez Macphersona, poematy Graya, Collinsa i Masona a nawet prorocze poematy Blake'a przyczyniły się do dalszego rozwoju mitu druidów.

Przypomina o tym Stuart Piggott w odczycie, wygłoszonym niedawno w BBC. Przypomina on także, że w roku 1781 pod wpływem tych prądów powstaje organizacja pod nazwą „The Ancient Order of Druids", a Walijczyk Iolo Morganwg włącza tradycje druidów do „Eisteddfod" — uroczystości kulturalnej walijskiej, odbywającej się co roku i połączonej z zawodami w dziedzinie sztuki i poezji. Na uroczystości tej nowocześni druidowie i bardowie pojawiają się w szatach, których kształt i barwę planował, na podstawie legendarnej tradycji, artysta epoki wiktoriańskiej, Hubert von Herkomer.

Łączenie mitu druidów ze Stonehenge ma jednak, jak wykazali uczeni, bardzo słabe podstawy. Kamienne uroczysko zbudowane zostało dużo wcześniej, niż Celtowie osiedlili się w Brytanii, mianowicie między rokiem 1700 a 1500 przed Chr., to jest trzy i pół tysiąca lat temu. Budowniczymi jego byli ówcześni mieszkańcy Anglii, pochodzenia prawdopodobnie śródziemnomorskiego. O ich kulcie religijnym niczego właściwie nie wiemy. Celtowie przybyli do Anglii na paręset lat przed Chr., w czasie, kiedy uroczysko w Stonehenge było już bardzo sędziwym zabytkiem. Jest oczywiście rzeczą możliwą, że używali go dla swych obrządków.

W zakończeniu swego odczytu Piggott podkreślił, że druidowie w tej postaci, w jakiej znani są społeczeństwu dzisiaj, są jednym z malowniczych wynalazków ruchu romantycznego.

„ŻELAZNA KURTYNA". Wedle „Oxford Dictionary of Quotations" wyrażenia „żelazna kurtyna" użyło po raz pierwszy jedno z angielskich pism niedzielnych w dniu 21 października 1945, po raz drugi zaś Winston Churchill w swej mowie w Fulton w dniu 5 marca 1946 r.

W rzeczywistości, jak stwierdza p. Sydney D. Bailey w liście do „Times Literary Supplement", wyrażenia tego używano już znacznie wcześniej. Tak np. pani Snowden, która odwiedziła Rosję z delegacją Labour Party w r. 1920 i ogłosiła później wrażenia z tej podróży pt. „Through Bolshevik Russia", pisze tam b. i.: „Wreszcie znaleźliśmy się za „żelazną kurtyną".

P. Bailey nie bez słuszności wnioskuje z tego, że wyrażenie to musiało już być w tym czasie rozpowszechnione dosyć znacznie.

ŚWIATOWY ZJAZD TŁUMACZY. W Paryżu obradował świeżo zjazd tłumaczy literatury z całego świata. Z inicjatywy francuskiej powstała parę lat temu „Fédération internationale des traducteurs", w skład której wchodzą poszczególne związki narodowe. Ona to właśnie — przy wydatnej pomocy departamentu sztuki i literatury w francuskim Ministerstwie Wychowania Narodowego — zjazd ten urządziła.

Szereg ciekawych uwag na temat przekładów ogłasza w związku z tym w „Figaro Littéraire" Dominique Arban. Stwierdza on, że Proust ma wśród Anglosasów niemniej czytelników, niż we Francji, a zawdzięcza to świetnemu przekładowi. Edgar Allan Poe, którego pozycja w Ameryce była nieszczególna, zdobył sobie ogólny podziw we Francji przede wszystkim dlatego, że tłumaczył go Baudelaire. Z drugiej strony jedną z zalet tłumacza musi być pokora. Jeśli we francuskiej wersji „Tajfunu" Conrada i „Antoniusza i Kleopatry" Szekspira wyczuwa się rytm, który nie jest rytmem ani Conrada ani Szekspira, to dlatego, że dzieła te przekładał André Gide, tłumacz niezwykle skrupulatny, ale nie potrafiący w dostatecznym stopniu wyzuć się ze swego własnego rytmu literackiego.

„SOCREALIZM" W MUZYCE. W oficjalnym organie Związku Kompozytorów Sowieckich „Sowieckaja Muzyka" ukazał się artykuł Arama Chaczaturiana który uważany jest za zapowiedź zmiany w dotychczasowym stanowisku władz sowieckich wobec twórczości muzycznej.

Twórczość ta — jak przypomina Alexander Werth w wygłoszonej niedawno w BBC prelekcji radiowej — została potwornie skrępowana przez znany dekret Żdanowa z lutego 1948 r. Na miesiąc przedtem Żdanow sterroryzował kompozytorów rosyjskich przemówieniem, w którym zagroził im śmiercią, jeśli nie będą dostatecznie „prości", „melodyjni" i „ludowi" i jeśli nie będą wystrzegali się odchyleń „formalistycznych" i „zachodnich".

Skutki tego przemówienia i dekretu były katastrofalne; twórczość muzyczna w Związku Sowieckim spadła do poziomu, jakiego Rosja od stu lat nie miała. Obecnie artykuł Chaczaturiana charakteryzuje te szkody i w gruncie rzeczy uznaje, że wytyczne Żdanowa były wysoce szkodliwe. Chaczaturian oświadcza wprawdzie, że „socjalistyczny realizm" musi nadal być uważany za jedynie słuszną doktrynę, wypowiada jednak pogląd, że „realizm" ten posunięty został poza wszelkie rozsądne granice i w konsekwencji zdławił wszelkie talenty. Rezultatem była produkcja konwencjonalnych śmieci, opatrzonych szumnymi tytułami, takimi jak „Miłość sowieckiej ojczyzny", „Walka o pokój" lub „Przyjaźń między narodami". Rzeczy te dosłownie z dnia na dzień ulegały zupełnemu zapomnieniu.

Chaczaturian ostrzega również przed źle pojętym kultem melodii ludowych. „Melodia ludowa — pisze — nie wystarcza na to, by z kompozycji muzycznej stworzyć dzieło narodowe. W szóstej symfonii Czajkowskiego nie ma melodii ludowych, a jednak jest ona dziełem bardziej narodowym, niż stworzone w ostatnich czasach kompozycje z ich antologią melodii ludowych, która do nikogo nie przemawia. Zagadnienie stylu narodowego w muzyce traktowane musi być szeroko, bez sztucznych ograniczeń i drobiazgowego prawodawstwa."

Autor artykułu krytykuje też ostro ingerencję biurokracji w sprawy muzyki. Czy jednak wynurzenia te osiągną zamierzony efekt, zależy właśnie od postawy, jaką ta biurokracja zajmować będzie w przyszłości.

WALNY ZJAZD ZW. DZIENNIKARZY R.P.

W dniach 11 i 12 grudnia ub. r. odbył się w Londynie Walny Zjazd Związku Dziennikarzy R. P. Zjazd zgromadził około 70 członków Związku, zaś blisko 100, zamieszkałych poza Wielką Brytanią, delegowało swoje głosy.

Zjazd poprzedzony był Mszą św. w Brompton Oratory.

Przewodniczącym Zjazdu wybrano prof. Stanisława Strońskiego.

Sprawozdanie w imieniu ustępujących władz Związku przedstawił prezes Bolesław Wierzbiański. Red. Wraga przedstawił sprawozdanie Syndykatu we Francji, zaś red. Jan Walewski, sekretarz gen. Zarządu — sprawozdania Syndykatów z Niemiec, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Australii. Ustępujący Zarząd otrzymał absolutorium z podziękowaniem.

Zjazd wysłuchał referatu red. R. Wragi na temat polityczno-propagandowych zainteresowań Europą Środkowo-Wschodnią.

Zjazd przyjął m. i. następujące uchwały:

— protest przeciwko aresztowaniu Kardynała Wyszyńskiego oraz uchwałę o ogólnej sytuacji w Kraju;

— nadał seniorat Związku red. Antoniemu Bogusławskiemu za wybitne zasługi na polu prasy i pisarstwa oraz zasługi dla Związku Dziennikarzy R.P.

Prezesem Związku został wybrany jednogłośnie red. Bolesław Wierzbiański (po raz siódmy). Jednogłośnie również wybrano Wydział Wykonawczy w składzie: T. Borowicz, A. Bregman, P. Hęciak, T. Horko, Z. Jordan, R. Piestrzyński, Z. Racięski, L. Rubel, Z. Kotkowski, J. Walewski, J. Wedow, D. Żarnowski.

FORUM DYSKUSYJNE

Jako inaugurację do dorocznego Walnego Zjazdu, Związek Dziennikarzy R. P. zorganizował w Londynie, w dniu 11 grudnia 1953, międzynarodowe forum dyskusyjne, na temat „Czy zjednoczenie Europy jest możliwe".

Na przewodniczącego forum zaproszony został Malcolm Muggeridge, jeden z najwybitniejszych dziennikarzy brytyjskich, obecnie redaktor naczelny tygodnika „Punch".

Przemawiali po kolei:

— George Jonescu, londyński przedstawiciel „La Nation Roumaine" w Paryżu, komentator BBC i autor,

— Robert Mengin, dyrektor londyński Agence France Presse,

— Dr K. H. Abshagen, przedstawiciel Muenchener Merkur i szeregu innych pism niemieckich,

— Ruggero Orlando, londyński przedstawiciel RAI-Radio Italiana,

— Dr Leszek Kirkien, dyrektor wydawnictwa „Dziennik Polski" w Londynie,

— Rowmund Piłsudski, redaktor polityczny miesięcznika „Trybuna".

Po przemówieniach zagajających odbyła się dyskusja.

KALENDARZYK PRZYJACIÓŁ BIBLIOTEKI POLSKIEJ

GRUDZIEŃ **31** *Czwartek Sylwestra*	W kończącym się dziś roku ukazało się 12 tomów „Biblioteki Polskiej": **Błogosławiona wina** Z. Kossak, **Blisko i daleko** M. Danilewiczowej, **Pani Sapowska** W. Grubińskiego, **Pieśń o Bernadecie** F. Werfla (2 tomy), **Wspomnienia niebieskiego mundurka** W. Gomulickiego, **Mały świat don Camilla** J. Guareschiego, **Królowa niebios** M. Gawalewicza, **Matka Boska w naszym życiu** o. M. W. Bernadota, **Świat w oczach współczesnej nauki** T. Felsztyna, **Szkice etyczne** o. I. M. Bocheńskiego i **Krótka historia Anglii** G. K. Chestertona.
STYCZEŃ **1** *Piątek Nowy Rok*	W zaczynającym się dziś roku co miesiąc wyjdzie jeden tom. Będą to powieści: **J. Kossowskiego, J. Kisielewskiego, T. Zajączkowskiego, E. Waugh, G. Greene'a, J. Bielatowicza i M. Lisiewicza,** oraz: **Ojciec Maksymilian Kolbe** M. Winowskiej, pamiętnik wojenny jednej z wybitnych osobistości, **Podróż do Lourdes** dra A. Carrela, **Ewangelie apokryficzne** w opr. Daniel-Ropsa i **Rok polski** Z. Kossak. **KAŻDY TOM KOSZTUJE W PRZEDPŁACIE 9 SZYL. (z przes.), PO UKAZANIU SIĘ — 15/-.**
STYCZEŃ **31** *Niedziela*	Ostatni termin uiszczenia przedpłaty na następujące tomy: 1. **Antologia liryki polskiej OD KOCHANOWSKIEGO DO STAFFA** (w opr. W. Borowego). Książka premiowa (500 stron) za rok 1953. Cena w przedpłacie: dla abonentów, którzy w r. 1953 zakupili w przedpłacie co najmniej 6 tomów — 9 szyl. (z przes.), dla innych subskrybentów — 18 szyl. 2. **OJCIEC MAKSYMILIAN KOLBE** Marii Winowskiej.
LUTY **28** *Niedziela*	Ostatni termin uiszczenia przedpłaty na powieść Jerzego Kossowskiego p. t. **WICI W PUSZCZY.** Broszura o BIBLIOTECE POLSKIEJ i biuletyn NOWA KSIĄŻKA przyniosą szczegółowe zapowiedzi na cały rok 1954. **PRZEPRASZAMY ZA OPÓŹNIENIE, Z JAKIM SIĘ UKAZAŁY NIEKTÓRE DOTYCHCZASOWE TOMY BIBLIOTEKI.**
MARZEC **31** *Środa*	Ostatni termin uiszczenia przedpłaty na powieść Józefa Kisielewskiego p. t. **POWRÓT.** **DOŁOŻYMY WSZELKICH STARAŃ, BY KAŻDY TOM BIBLIOTEKI UKAZYWAŁ SIĘ NAJPÓŹNIEJ W MIESIĄC PO ZAMKNIĘCIU PRZEDPŁATY.**
KWIECIEŃ **30** *Piątek*	Ostatni termin uiszczenia przedpłaty na **PAMIĘTNIK WOJENNY** (tytuł i nazwisko autora będą wkrótce ujawnione). **PROSIMY O NIEODKŁADANIE WPŁAT DO OSTATNIEGO TERMINU. MOŻNA OD RAZU ZAMAWIAĆ KILKA LUB WSZYSTKIE TOMY.**

ŻYCIE KRAJU

DODATEK MIESIĘCZNY „ŻYCIA"

STYCZEŃ 1954

GLOSSATOR

CHŁOP I ZIEMIA

Komitet Centralny PZPR, który przyjął omówione już przez nas w poprzednim numerze ŻYCIA KRAJU tezy do dyskusji przed drugim zjazdem, musiał wysłuchać przed tym wodnistego referatu Bieruta, poświęconego w trzech czwartych zagadnieniom rolnictwa. Po referacie odbyła się dyskusja, w której zabierało głos kilkunastu mówców, w tym Berman, Minc, Chełchowski, Lange, a nawet Putrament. Ani tezy ani referat Bieruta nie wywołały oczywiście najmniejszych zastrzeżeń ze strony uczestników dyskusji; wysiłki ich zmierzały przede wszystkim do podkreślania dobroczynnych skutków nowego kursu polityki gospodarczej, zapowiedzianego przez tezy i mającego być przedmiotem uchwał zjazdu. Mówcy nie mogli się jednak powstrzymać od poruszania piętrzących się na tej drodze trudności; dyskusja była interesująca przez to, że uwypukliła na przykładach z życia zaniedbania i niedociągnięcia w dziedzinie przemysłu lekkiego i zgoła krytyczną sytuację w rolnictwie.

Było w przemówieniach dużo krytyki i samokrytyki, żaden głos jednak nie poddał w wątpliwość słuszności dotychczasowej polityki gospodarczej. Budowa podstaw socjalizmu wymagała szybkiego uprzemysławiania kraju; jeżeli uprzemysłowienie to przybrało charakter wybitnie jednostronny i zachwiało równowagę całości gospodarki narodowej, to winna temu nie linia generalna partii, lecz nienależyte wykonywanie dyrektyw władz centralnych przez aktyw partyjny, biurokratyzacja aparatu administracyjnego i — last but not least — intrygi wrogów klasowych i agentur imperializmu. Pomimo tych przeszkód, zbudowano bazę przemysłową, która pozwala obecnie wejrzeć w interesy spożywcy. Skoro w polityce partii nie było błędów, nie może być mowy o odwrocie z zajmowanych pozycji. Tempo uprzemysławiania kraju będzie utrzymane. „Utrzymujemy generalną linię industrializacji" — mówił Bierut — „przyśpieszając jednocześnie wydatnie budownictwo w zakresie tych dziedzin gospodarki narodowej, które bezpośrednio obsługują potrzeby ludności". W dyskusji poparł to oświadczenie Minc swoistym argumentem. „Czy to znaczy" — pytał on — „że rozwój przemysłu lekkiego spowoduje zaniedbanie przemysłu ciężkiego? To byłby oczywiście nonsens. Cóż to byłby za postęp, gdybyśmy od wielkich pieców, od mostów przeładunkowych, od dźwigów przeszli tylko do lekkiego przemysłu. Nasza ofensywa gospodarcza idzie na całym froncie; siły nasze już tak wzrosły, że możemy rozwijać i przemysł ciężki i lekki. I na tym właśnie polega zadanie".

Z argumentacji tej widać, że Minc jest człowiekiem przekonań krańcowych; jego hasłem jest wszystko albo nic, nie uznaje on drogi pośredniej. Trudno powiedzieć, ile w tej ocenie możliwości gospodarczych kraju jest doktrynalnego fanatyzmu, ile zaś ulegania nakazowi z góry. Może też pod osłoną buńczucznych oświadczeń kryje się wewnętrzna rozterka wielkorządców Polski.

SZUKANIE NOWEJ DROGI

Drogi pośredniej szuka się bowiem w rolnictwie. Istniały w Polsce — według Minca — dwa kierunki polityki rolnej. Pierwszy z nich, określany przezeń mianem gomułkowszczyzny, propagował podniesienie produkcji rolnej przez wstrzymanie kolektywizacji i zaprzestanie walki z kułakiem. Był to kierunek fałszywy, prowadzący do „oddania mas chłopskich pod komendę kułaka" i zerwania sojuszu robotniczo-chłopskiego. Równie błędny był drugi kierunek, „awanturniczo-lewacki", wychodzący z założeń wręcz przeciwnych. Zwolennicy tego kierunku żądali natychmiastowej kolektywizacji rolnictwa i natychmiastowej likwidacji kułaków jako klasy. Głosili oni, że „im gorzej z produkcją w gospodarstwach indywidualnych, tym lepiej dla rozwoju spółdzielczości produkcyjnej". To podeptanie zasady dobrowolnej kolektywizacji musiałoby prowadzić do powstawania „karykaturalnych, nieżywotnych spółdzielni i do ogólnego spadku produkcji rolnej". Partia odrzuca zatem obie teorie i wybiera jedyną drogę właściwą, drogę „bolszewickiej walki na dwa fronty: przeciw prawicowemu kapitulanctwu... i przeciw lewackiemu sekciarstwu", polegającą na pomaganiu chłopom małorolnym i średniorolnym przy jednoczesnym rozwijaniu spółdzielczości produkcyjnej i wzmacnianiu PGR-ów. Innymi słowy, polityka rolna partii ma żeglować między Scyllą gomułkowszczyzny a Charybdą „lewackiego awanturnictwa", dopóki tej żeglugi nie wyprostuje całkowita likwidacja gospodarki indywidualnej na wsi. Jest to, jak przyznaje Bierut, a za nim inni, droga bardzo trudna. Przypatrzmy się jej bliżej.

„Musimy się liczyć" — mówi Berman — „z istnieniem trzech torów gospodarczych na wsi — drobnotowarowej gospodarki mało i średniorolnych chłopów, gospodarki kapitalistycznej kułackiej i gospodarki spółdzielczo-socjalistycznej". Partia popierać ma pierwszy i trzeci typ gospodarki, zwalczać zaś drugi. Celem tej walki nie jest fizyczne zniszczenie kułaka; kto by obecnie wystąpił z taką propozycją — oświadcza Berman — „dałby tylko dowód szkodliwego awanturnictwa". „Trzeba ograniczać, a nie likwidować kułaka" — dodaje Minc. Kułak będzie gnębiony środkami ekonomicznymi i fiskalnymi: „klasową polityką podatku gruntowego i progresji podatkowej" oraz „klasową polityką progresji w dostawach obowiązkowych". Nie może on oczywiście liczyć na pomoc państwową w postaci kredytów inwestycyjnych, maszyn i narzędzi rolniczych, melioracji lub instruktorów rolnych. Jeżeli przy tej okazji gospodarstwa kułackie podupadną gospodarczo, to będzie to — według Minca — „produkt uboczny procesu ograniczania".

MITYCZNY KUŁAK

Minc i Berman zdają sobie sprawę, że większe i lepiej zagospodarowane gospodarstwa rolne, których liczbę określa Berman na ćwierć miliona, stanowią poważną siłę produkcyjną. Kułak, choć wróg klasowy, jest głównym wytwórcą nadwyżek produkcji, musi więc pracować, ale z pracy swej nie będzie miał żadnych korzyści: wszystko co zarobi, zabierze mu państwo. Berman przywiązuje dużą wagę do podniet ekonomicznych, z którymi partia idzie na wieś, a które mają zapewnić chłopom zwiększenie zysków ze sprzedaży produktów rolnych na wolnym rynku. Kułaka wyłącza się jednak spod działania tych kapitalistycznych motywów pracy dla zysku. Cóż ma go więc skłonić do zwiększenia produkcji? Jest on w sytuacji skazańca, któremu oprawcy każą kopać własny grób przed egzekucją.

W ten sposób rezygnuje się, w imię doktryny z możliwości produkcyjnych 250.000 gospodarstw wiejskich i skazuje się te gospodarstwa na stopniową ruinę. Jest to droga podnoszenia produkcji rolnej, w której tylko komuniści mogą nie widzieć sprzeczności. A przecież ten kułak na wsi, na którego, jak na legendarnego smoka, wyrusza Berman wraz ze sforą swych towarzyszy partyjnych — to postać mityczna, stworzona przez propagandę dla „zaostrzenia walki klasowej", tzn. rozbicia solidarnego oporu chłopstwa przeciw kolektywizacji. Lichwa i wyzysk pracy najemnej przez zamożnych chłopów nie były nigdy w Polsce znanym zjawiskiem, choć istniały podobno w przedwojennej Rosji. „Kułak", to termin rosyjski, nie mający odpowiednika ani w języku polskim, ani w rzeczywistości polskiej wsi.

SCYLLA I CHARYBDA

Idźmy jednak dalej. Wypowiedzi uczestników dyskusji nie pozostawiają wątpliwości, że proces kolektywizacji, przyspieszony w ostatnim roku, nie tylko nie zostanie wstrzymany, lecz nawet jego tempo nie ulegnie zahamowaniu. „Socjalistyczna przebudowa rolnictwa" — oświadcza Lange — jest jednym z podstawowych celów naszej partii... Tego celu nie wyrzekamy się i nigdy się wyrzec go nie możemy". Ta wierność zasadom stawia kompartię w Polsce wobec trudnego problemu. Dotychczas w polityce rolnej czynników rządzących przeważały — wbrew zdaniu Minca — cechy „lewackiego awanturnictwa"; tworzono spółdzielnie produkcyjne przy pomocy presji administracyjnej oraz stosowano szeroko metodę nacisków ekonomicznych, polegającą na utrudnianiu życia chłopom niezrzeszonym w spółdzielnie i obdarzaniu przywilejami gospodarstw kolektywnych. Ten stan rzeczy ma ulec obecnie zmianie. Pomoc państwową przyobiecano nie tylko kołchozom i PGR-om, lecz również gospodarstwom mało i średniorolnym, zasada zaś dobrowolnego przystępowania do spółdzielni ma być ściślej niż dotąd przestrzegana.

Jeżeli jednak zakres pomocy państwowej dla spółdzielni i gospodarstw indywidualnych będzie jednakowy, to zniknie pozorna atrakcyjność spółdzielni i proces kolektywizacji ustanie. Chłop na własnym gospodarstwie, któremu się zacznie lepiej powodzić, nie będzie widział sensu w przystępowaniu do kołchozu. Tu jest Scylla. Jeżeli natomiast cały wysiłek państwa pójdzie nadal w kierunku wspomagania kołchozów i PGR-ów, a dla gospodarstw indywidualnych zostaną tylko okruchy, to nie osiągnie się zamierzonego podniesienia produkcji rolnej. Wszak gospodarka kolektywna obejmuje niewiele ponad 17% obszaru rolnego Polski. Tu jest Charybda.

W tym trudnym lawirowaniu między dwiema krańcowościami kompartia będzie niewątpliwie dążyła do utrzymania uprzywilejowanej pozycji kolektywów, lecz niewielkie nawet odchylenie w jedną lub drugą stronę odbić się musi bądź na procesie kolektywizacji bądź na podnoszeniu produkcji. Zasada faworyzowania gospodarstw kolektywnych, choćby utrzymana w pewnych granicach, nie wytworzy w masach chłopskich atmosfery, sprzyjającej wysiłkom w celu wzmożenia produkcji. Chłop nie zostanie przekonany, że coś się zasadniczo zmieniło i że może spokojniej patrzeć w przyszłość.

Bierut i towarzysze za cenę kompromisu z doktryną szukają kompromisu z chłopstwem; wątpliwe, czy to się uda.

RZEKOMA WYŻSZOŚĆ KOLEKTYWÓW

Przez dyskusję w Komitecie Centralnym przewija się nić nadziei, że kolektywizacja, obejmując stopniowo coraz większe obszary kraju, przyniesie automatycznie zwiększenie produkcji rolnej i rozwiąże w ten sposób trudności. Istnieje pogląd, reprezentowany nie tylko przez ekonomistów sowieckich, że gospodarka zespołowa na dużych obszarach rolnych daje większe możliwości racjonalnego wyzyskania ziemi, niż drobna gospodarka chłopska. „Gospodarowanie na większym obszarze" — mówił Bierut — „z zastosowaniem metod i możliwości wielkiego przedsiębiorstwa stanowi przejście na jakościowo wyższy szczebel gospodarowania, jest bez porównania korzystniejsze... Możliwości takie stwarza dla chłopów spółdzielczość produkcyjna". Doświadczenia z kolektywami w Polsce nie potwierdzają tego poglądu. Tezy KC głoszą wprawdzie, że sektor socjalistyczny w rolnictwie osiągnął w niektórych rodzajach produkcji wyniki wyższe niż gospodarstwa indywidualne, lecz jeśli się nawet uwierzy temu stwierdzeniu, to trzeba wziąć pod uwagę nakłady inwestycyjne włożone przez państwo w kolektywy. Jest zresztą przykład jaskrawszy. Kolektywizacja w Rosji Sowieckiej, rozpoczęta w r. 1929, dobiegła końca w r. 1934, czyli przed laty niespełna 20. Był to okres czasu, przez który gospodarka kolektywna mogła wykazać swe zalety. Jednakże Rosja, kraj, który, według Bieruta, „posiada najbardziej zmechanizowaną i rozporządzającą najwyższą techniką gospodarkę rolną", stoi wobec tego samego, jeśli nie większego kryzysu w rolnictwie, co Polska.

INSTYNKT CHŁOPSKI

Istota rzeczy polega na tym, że o producji rolnej nie rozstrzygają wyłącznie czynniki ekonomiczne. Dla komunisty ziemia jest tylko środkiem produkcji, dla chłopa czymś znacznie więcej. Związek chłopa z ziemią jest związkiem, który trudno określać w kategoriach ekonomicznych: chłop ma go we krwi, z nim się rodzi i z nim umiera. Berman i Minc tego zrozumieć nie mogą; nic ich nie łączy z ziemią, a bardzo niewiele z Polską. Przebłyski zrozumienia tej chłopskiej rzeczywistości zdarzają się jednak czasem u komunistów. Bierut w przemówieniu zamykającym sesję KC ubolewał nad błędami popełnianymi przez lokalne aktywy partyjne w stosunku do chłopstwa. „A przecież sprawa ziemi dla chłopa" — pouczał on słuchaczy — „to bardzo ważny problem, który decyduje częstokroć o jego stosunku do władzy. Jego ufność do sojuszu z klasą robotniczą w okresie władzy kapitalistyczno-obszarniczej opierała się na wysuwanym przez partię robotniczą haśle walki o ziemię dla chłopów. Byt chłopa w tym okresie związany był z ziemią, dla ziemi właził on w długi po uszy, borykał się ze wszystkich sił, aby choć odrobinę rozszerzyć swój stan posiadania ziemi... Przywiązanie chłopa do ziemi było zawsze i do dziś dnia pozostaje wielkie". W chwilę potem Bierut, niezbyt konsekwentnie, kapituluje przed doktryną kolektywizacji.

Walka chłopa o ziemię, którą Bierut odnosi do przeszłości, nabrała szczególnego natężenia właśnie w okresie „sojuszu robotniczo-chłopskiego". Chłop, nad którym wisi zmora zabrania mu ziemi, będzie się starał tylko przetrwać, obojętny na bodźce ekonomiczne wszelkiego rodzaju i wezwania do „socjalistycznego współzawodnictwa w podnoszeniu produkcji". „Wróg powiada chłopom mało i średniorolnym" — ubolewał Lange — „że nie warto wysilać się dla podniesienia produkcji rolniczej, zwłaszcza hodowlanej, gdyż istnieje przed nimi perspektywa przystąpienia do spółdzielni produkcyjnej, a więc rzekomo nie będą korzystali z owoców swych wysiłków". Tow. Lange się myli: to nie wróg klasowy tak mówi chłopom, mówi im tak zdrowy instynkt chłopski.

Glossator

SKUP ZBOŻA

„Trybuna Ludu" z 19 listopada ub. r. jest zaniepokojona niezadawalającym przebiegiem przymusowego skupu zboża w Polsce. Po wyliczeniu dobrodziejstw, które spadły na chłopów z rąk komunistycznej władzy, pismo przystępuje do opisu czarnej chłopskiej niewdzięczności. Skup na terenie niektórych województw postępuje, zdaniem pisma, pomyślnie, inne mają natomiast jeszcze spore zaległości.

„Nawet w ramach tego samego województwa dają się zauważyć poważne różnice w wykonaniu obowiązkowych dostaw przez poszczególne powiaty... Na dzień 18 listopada 148 powiatów zostało już zwolnionych od obowiązków miarek i odsypów, a wiele powiatów wykonało już nawet w pełni roczny plan. Ale równocześnie są jeszcze i takie powiaty, które pozostają daleko w tyle. Tak np. Kalisz w poznańskim, Płońsk w warszawskim lub Kutno w woj. łódzkim mają jeszcze poważne zaległości w rozrachunkach zbożowych z państwem. Dotyczy to również całych województw. Oto np. Kraków, Stalinogród, Gdańsk, Opole, Rzeszów lub Olsztyn dużymi krokami zbliżają się do wykonania rocznego planu, a Koszalin, Bydgoszcz czy Lublin zostają w tyle. Jeżeli Poznań w ostatnim okresie znacznie posunął się naprzód w likwidowaniu zaległości, to nie widać takiej poprawy ani w Bydgoskim, ani w Lubelskim... Oto w województwie białostockim powiat Augustów przekroczył 90% wykonania planu jako jeden z pierwszych powiatów w Polsce, ale po dziś dzień inne powiaty województwa białostockiego pozostały daleko w tyle. Oto w woj. warszawskim Garwolin ma już niemal w pełni wykonany plan, ale Płock, Płońsk i Pułtusk nie nadążają za przodującymi powiatami."

Jeżeli się zatem pominie „wiele" powiatów, które już wykonały roczny plan całkowicie, to reszta powiatów bądź nawet całe województwa zbliżają się tylko do wykonania planu albo — co gorzej — pozostają w tyle lub „daleko w tyle". Czemu przypisać tak poważne różnice? — pyta pismo.

„Żniwa tegoroczne, przy słabszych zbiorach żyta, nie wykazywały tak wielkich różnic pomiędzy poszczególnymi terenami, aby usprawiedliwić miały tego rodzaju dysproporcje".

Przyczyna jest jednak jasna. Chłopstwo ulega po prostu kułacko-spekulanckiej propagandzie przeciwko dostawom.

„Kułactwo usiłowało sabotować planowe dostawy zbóż, dezorientować pracujących chłopów, namawiać ich do niewykonania dostaw w terminie."

Co trzeba czynić wobec tego stanu rzeczy? Trzeba przede wszystkim karać opornych kułaków.

„Tam, gdzie mamy do czynienia ze złośliwą robotą kułacko-spekulancką, nie może być pobłażania. Im skuteczniej nasze władze terenowe (kolegia orzekające i prokuratorzy) będą występowały przeciwko poszczególnym kułakom, sabotującym wykonanie planu, namawiającym innych do niewykonywania planów, tym prędzej zboże przeznaczone przez jego posiadaczy na spekulację napłynie na punkty skupu. Chodzi jednak o to, aby przy karaniu uderzać celnie..."

Dalej pismo zaleca prezydiom rad narodowych, aby pilnowały wykonania orzeczeń karnych i nie puszczały płazem kułacko-spekulanckich knowań. Dla zilustrowania skuteczności tego rodzaju środków przytacza przykład Brzeźnicy.

„Tak np. w gminie Brzeźnica, pow. kozienicki, ukarano 18 kułaków złośliwie nie wywiązujących się ze swych obowiązków, ukrywających zboże dla celów spekulacyjnych... Gmina Brzeźnica przoduje dzisiaj w swoim powiecie w wykonaniu wszystkich obowiązków wsi wobec państwa".

Widać z tego, że sojuszu robotniczo-chłopskiego pilnować muszą prokuratorzy i komisje specjalne. Lecz — oświadcza pismo — samo karanie nie wystarcza.

„Trzeba w końcowym okresie akcji nasilić pracę masowo-polityczną, dążyć do dalszego wzrostu aktywizacji pracujących chłopów... W oparciu o wskazania IX Plenum dotrzeć musimy z naszym słowem do każdego pracującego chłopa, skłonić ociągających się dotychczas z tych czy innych powodów — do rozrachunku z państwem."

Innymi słowy, trzeba podburzać jednych chłopów przeciwko drugim. Nazywa się to technicznie „zaostrzaniem walki klasowej na wsi". Pismo narzeka, że akcję tę prowadzi się na niektórych terenach opieszale.

„Na tych terenach nie wykonują w pełni zaleceń rządu i partii organizacje partyjne, rady narodowe i aparat skupu".

Pismo niesłusznie oskarża aktywistów partyjnych. Robią oni zapewne co mogą, przesadzają nawet nieraz w gorliwości, ale chłopstwo jest w swej masie solidarne. Biernego oporu wsi nie przełamią podburzanie ani agitacja. Nie jest on dziełem jednostek, lecz samoobroną masy. Istnieje on zresztą wszędzie, nie tylko na wsi, lecz w każdym domu polskim, w każdym warsztacie pracy. Wrzask aktywistów partyjnych rozbija się o ten opór, jak o skałę.

Ale „Trybuna" jedzie dalej na swoim koniku.

„Mobilizując pracujących chłopów, jeszcze bardziej odizolujemy w gromadzie kułaka-spekulanta; pod naciskiem gromady będzie on zmuszony zrezygnować ze swoich spekulanckich zamierzeń."

Wszystkiemu winien kułak...

„TRYBUNA LUDU" I KATOLICY REŻYMOWI O „ŻYCIU"

W numerze 334 „Trybuny Ludu" z dnia 1 grudnia 1953 znajdujemy artykuł p. t. „Takie ŻYCIE".

Nie pierwszy raz ŻYCIE dostępuje zaszczytu połajanki ze strony pism reżymowych w Kraju. W czasie procesu Biskupa Kaczmarka prokurator zażądał dołączenia do akt oskarżenia egzemplarza ŻYCIA z artykułem ks. prof. W. Meysztowicza p. t. „Położenie Kościoła w Polsce", a Ochab po aresztowaniu Kardynała Wyszyńskiego artykuł ten cytował w „Trybunie Ludu".

Nie wypuszcza nas również spod czułej opieki prasa katolików reżymowych. Największą furię katolickich marksistów wywołał nasz artykuł p.t. „Wrogowie Stolicy Apostolskiej są wrogami Polski" (ŻYCIE nr 21/309), przedrukowany w tłumaczeniu na język włoski w „Osservatore Romano" (30.VI.-1.VII.53). Jakiś ks. Mieczysław Suwała usiłował się rozprawić z poglądami ŻYCIA i prawdziwych katolików polskich przy pomocy pospolitych kłamstw katoliko-marksistów w artykule na pierwszej stronie „Słowa Powszechnego" (26-27.IX.53). Wystarczy zacytować trzy zdania ks. Suwały: „Nad Odrą i Nysą czuwa żołnierz polski. Cały naród polski, wierzący i niewierzący, zdecydowanie i jednomyślnie uważa ziemie odzyskane za swoje. To są fakty, o których nie chcą słyszeć „polskie" koła emigracyjne."

W ostatnim, gwiazdkowym numerze tygodnik „Dziś i Jutro" zamieścił ogromnych rozmiarów (z górą 2 strony druku) „Odpowiedź redakcji na list otwarty Pani Zofii Kossak", który był zamieszczony w ŻYCIU. W odpowiedzi są też liczne aluzje do redakcji naszego tygodnika i katolików polskich na emigracji. To cyniczne oświadczenie zasługuje na obszerniejszą analizę, gdyż nie pozostawia wątpliwości, iż katolicy reżymowi uważają swoją sprawę za związaną na śmierć i życie z ateistycznym komunizmem. Na razie przytoczymy tylko charakterystyczne zdanie z „Dziś i Jutra": „Porównuje Pani komunizm do szatana. Jest to niesłychany dowód ciemnoty i zaślepienia, który opanował Wasze umysły."

Wróćmy do „Trybuny Ludu". Felieton ob. K. Małcużyńskiego jest tak smakowity, że najlepiej będzie przytoczyć go Czytelnikom w całości. Oddajemy więc głos „Trybunie Ludu".

TAKIE „ŻYCIE"

„Wśród emigracyjnych świstków wychodzi sobie w Londynie „katolicki tygodnik religijno-kulturalny" pod nazwą „Życie". Uważany jest w kołach emigranckich za najpoważniejszy organ katolicki — chyba ze względu na pokaźny rozmiar i dobry papier, bo z poziomem i treścią jest gorzej.

Czytelników naszych może zainteresuje kilka przykładów czym też zajmują się i czym interesują takie to „religijno-kulturalne" koła emigranckie. Przykłady zaczerpnęliśmy z jednej, jedynej strony, jednego, jedynego numeru (nr 45 z 8 listopada 1953).

Znajdujemy na tej ostatniej stronie notatkę o tym, że endecja święciła 60-lecie założenia Ligi Narodowej — poprzedniczki Stronnictwa Narodowego. Autor notatki uważa, że to najbardziej reakcyjne i wsteczne stronnictwo polskiej burżuazji „ma sporo niewątpliwych tytułów do dumy", że jest „jedynym demokratycznym i nieklasowym stronnictwem polskim" i że stanowi „główny zrąb społeczeństwa polskiego na emigracji". Tyle frazesów. Gorzej z faktami. W tejże samej notatce czytamy następujące opinie o tuzach endecji przemawiających na owym 60-leciu: prof. Folkierskim i Zygmuncie Berezowskim. Cytujemy:

„Nikt piękniej nie mówi frazesów od prof. Folkierskiego. Minister Berezowski od trzydziestu lat wygłasza to samo przemówienie... Poza tym w dzisiejszych czasach proroczy styl przemówień nie wywołuje już wrażenia. Polityk ostatecznie nie cyganka, żeby ofiarowywał swe usługi zachętą: „Powróżyć, powróżyć..."

Hm! Może tuzy się zestarzały. Cała nadzieja w młodych endekach. Oni wniosą dynamizm, entuzjazm, treść. Posłuchajmy:

„Przedstawiciel młodych narodowców, przemawiający w St. Pancras dowiódł, że młode pokolenie, przynajmniej na emigracji, jest już inne niż średnie..." — No, proszę, tak i przypuszczaliśmy. Dalszy ciąg obiecującego zdania jest jednak niespodziewany: „... nastąpił widać odpływ idei narodowej w młodym pokoleniu emigracyjnym, skoro nie znaleziono lepszego przedstawiciela młodych".

No, to już musiał być wyjątkowy as, ten delegat młodych endeków, skoro nawet „Życie" nie może ukryć swej melancholii.

Tyle o endecji. Obok na stronicy „Życia" znajdujemy interesujący artykuł p. t. „Przybysze z planety Wenus", który zaznajamia biednych czytelników z rewelacyjną książką amerykańską p. t. „Latające spodki wylądowały". Z książki tej wynika niezbicie, że dwóch Amerykanów widziało lądowanie „latającego spodka", a nawet nawiązało kontakt z „człowiekiem o długich włosach, ubranym w rodzaj kombinezonu", który przybył wprost z Wenus. Gdy jeden z autorów książki nieostrożnie zrobił parę zdjęć, mieszkaniec Wenus zabrał mu filmy, a po 3 tygodniach przyleciał specjalnie „latającym spodkiem" i wyrzucił na ziemię wywołany film, pokryty tajemniczymi hieroglifami.

Jeżeli myślicie, że tu chodzi o sensacyjną powieść fantastyczną, to grubo się mylicie, bo obserwacje autorów książki potwierdziło pod przysięgą sześciu zdrowych na umyśle amerykańskich obywateli, a ponadto w książce reprodukowane są zdjęcia wywołane przez uprzejmego mieszkańca Wenus (!). Nie bez dumy „Życie" dodaje, że jednym z autorów tej monstrualnej bzdu-

(Dokończenie na str. 4)

JÓZEF MAZUR

Ś. P. PROF. STEFAN PIEŃKOWSKI

W naukę polską uderzył nowy cios. Przed dwoma miesiącami zmarł ś. p. prof. Czesław Białobrzeski, a oto 20. 11. 1953 odszedł na zawsze ś. p. Profesor Stefan Pieńkowski, dyrektor Instytutu Fizyki Doświadczalnej, były rektor Uniwersytetu Warszawskiego, były wiceprezes Polskiej Akademii Umiejętności, jeden z założycieli i prezes Polskiego Towarzystwa Fizycznego, członek wielu towarzystw naukowych zagranicznych, odznaczony licznymi orderami polskimi i obcymi.

Urodzony 28 lipca 1883 roku w Młynowie, w województwie łódzkim, przebojem szedł przez życie. Po uzyskaniu matury w Warszawie rozpoczął studia na Politechnice w Leodium, mając jednakże wielkie zamiłowanie do nauk ścisłych, przeniósł się na wydział matematyczno-przyrodniczy Uniwersytetu, po ukończeniu którego uzupełniał swe wykształcenie w Brukseli i Heidelbergu, po czym tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej objął wykłady na Politechnice, a następnie na Uniwersytecie w Leodium.

Za badania nad prawem Coulomba otrzymał nagrodę Królewskiej Akademii Nauk w Brukseli.

W r. 1920 został powołany na stanowisko profesora fizyki w Uniwersytecie Warszawskim. Warunki pracy, jakie zastał, były niezwykle trudne, gmach fizyki gotowy, ale niewykończony, brak przyrządów. Młody podówczas profesor pokonał wszelkie trudności: powstają kolejno laboratoria dla początkujących, zaawansowanych, wreszcie pracownie badań fizycznych. Poczynając od r. 1925 z Zakładu wychodzą doktorzy fizyki: wielu z nich uzupełni swe studia w Berlinie, Cambridge, Chicago, Hamburgu, Lejdzie, Londynie, Monachium, Paryżu, Pasadenie, Utrechcie.

Zakład specjalizuje się w optyce atomowej i cząsteczkowej, badaniach strukturalnych przy pomocy promieni X, zaś od r. 1936 zarysowuje się wyraźnie nowy kierunek prac — promieniotwórczość i zagadnienie budowy jądra atomowego.

Prof. Pieńkowski wiele wymagał od swoich uczniów, ale nie oszczędzał i siebie: był tytanem pracy; dbał o wysoki poziom publikacji, jakie wychodziły z Zakładu, często przypominał, że wyniki prac badawczych muszą przekraczać granice Polski.

Tak było istotnie. Z czasem powstaje w Zakładzie na Hożej „szkoła Pieńkowskiego", szkoła niewątpliwie twarda. Cechuje ją wpojona przez jej twórcę cześć dla prawdy naukowej, wysuwanie na plan pierwszy badań konkretnych zjawisk otaczającej nas przyrody, pogarda dla pustego werbalizmu, wstręt do taniej popularności i autoreklamy.

O uznaniu, jakim się cieszył Zakład w świecie, świadczy fakt, że w r. 1936 odbył się w Warszawie międzynarodowy zjazd fizyków, poświęcony fotoluminiscencji (świecenie atomów i cząsteczek pod wpływem naświetlania obcym promieniowaniem).

Do „szkoły" prof. Pieńkowskiego przyjeżdżali na studia specjalne pracownicy naukowi z Anglii, Belgii, Stanów Zjednoczonych, Łotwy, Niemiec, Rumunii. W r. 1938 odbył się w Warszawie Kongres Fizyki Jądrowej, na który przybyli najwięksi współcześni luminarze fizyki z N. Bohrem, A. S. Eddingtonem, L. Brouillon, H. A. Kramersem i J. Perrinem na czele. Sprawozdanie z tego Kongresu p. t. „Les nouvelles théories de la physique", wydane w Warszawie, zostało wyczerpane w ciągu kilku miesięcy.

W różnych czasach zwiedzili jeden z najlepszych zakładów fizyki Europy Środkowej uczeni tej miary, co Cockroft, Louis de Broglie, Skłodowska, Joliot (laureaci Nagrody Nobla), Wawiłow, Keesom, Perrin, Langevin, Nigli, Gerlach, Pringsheim i wielu innych. Wszyscy bez wyjątku wyrażali się z wielkim uznaniem o osiągnięciach Zakładu i o jego kierowniku, który łączy ze słowiańskim polotem wielką jasność myśli i żelazną wytrwałość ludu polskiego.

Fundacja Rockefellera przyznała prof. Pieńkowskiemu 50.000 dolarów na dalszą rozbudowę Zakładu, który z czasem zyskał światową sławę w dziedzinie optyki atomowej.

Wojna 1939 roku, okupacja niemiecka, Powstanie Warszawskie przyniosły kompletną ruinę Zakładu Fizyki Doświadczalnej. Przyrządy naukowe i księgozbiór zabrali Niemcy jesienią 1939 roku. Rzecz charakterystyczna dla psychiki germańskiej: grabież Zakładu odbyła się pod „fachowym" kierunkiem fizyków niemieckich, którzy wiosną 1939 r. Zakład zwiedzali i byli tam gościnnie podejmowani.

Pozbawiony warsztatu pracy, prof. Pieńkowski organizuje sieć tajnego nauczania zarówno w Warszawie, jak i na prowincji.

Po wypędzeniu Niemców staje z niesłabnącą energią przy ruinach, ale tym razem musi odbudować nie tylko Zakład Fizyki, ale cały Uniwersytet, jako rektor w trudnych latach powojennych 1945 — 1947.

Żywo mamy w pamięci, gdy tuż po zakończeniu działań wojennych przybył prof. Pieńkowski jesienią 1945 r. do Londynu, by poinformować odpowiednie czynniki o stanie i potrzebach nauki w Kraju oraz by zdobyć nowoczesne przyrządy fizyczne; cieszył się wówczas z osiągnięć naukowych swych uczniów, którzy pracowali w brytyjskich ośrodkach badawczych, nie ukrywał swego oburzenia w stosunku do tych, co wlokąc się za Armią Polską, nie umieli dumnie wśród obcych nosić polskiej głowy, gotowi za miskę soczewicy wyrzec się wszelkich związków z Macierzą.

Po raz drugi bawił przejazdem w Londynie w r. 1946, gdy rząd Stanów Zjednoczonych zaprosił Go i jego ucznia prof. Andrzeja Sołtana na pokazy dwóch doświadczalnych wybuchów atomowych w Bikini na Pacyfiku; był to dowód wielkiego uznania i zaufania dla polskich uczonych.

Wykłady, seminaria, konwersatoria, odczyty publiczne prof. Pieńkowskiego cieszyły się wielkim powodzeniem; w sposób jasny i przejrzysty ujmował najbardziej zawiłe problemy fizyki; posiadając dar krasomówcy, dbał o czystość języka polskiego w nauce, przykładał wielką wagę do popularyzacji najnowszych zdobyczy wiedzy.

Przed dwoma laty Polskie Towarzystwo Fizyczne, obchodząc trzydziestolecie swego istnienia, nadało prof. Pieńkowskiemu, jednemu ze swoich założycieli i długoletniemu prezesowi, najwyższą godność jaką dysponowało, godność członka honorowego.

W inauguracyjnym przemówieniu prof. Pieńkowski, jako przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Towarzystwa, powiedział w r. 1921: „Związani w tym Towarzystwie pragniemy gorliwie służyć Narodowi naszemu, chcemy iść razem, iść naprzód z wielką nauką świata, chcemy uczestniczyć społem i czynnie w jej nieprzerwanym i wspaniałym pochodzie, chcemy przyczynić się do dobrobytu, a da Bóg do rozkwitu Narodu."

Tym wskazaniom pozostał prof. Pieńkowski wierny do końca swego pracowitego żywota. Zajaśniał jako uczony, a wysoko stał jako człowiek.

Dziś w Instytucie Fizyki Doświadczalnej wszystkie pracownie są uruchomione, dobudowano nowe skrzydło gmachu, trudności zdobycia najnowszych przyrządów niewątpliwie istnieją, ale ilość młodych fizyków wzrasta, z Zakładu już wychodzą prace.

Z grona pracowników naukowych Zakładu 25-ciu zajmuje stanowiska profesorskie; wielu z nich odbudowuje fizykę na samodzielnych placówkach w Kraju.

Kilkaset prac Zakładu opublikowanych w „Acta Physica Polonica" i czasopismach zagranicznych świadczy o żywotności polskiej nauki.

Śmierć przedwczesna zabrała najwybitniejszego z polskich fizyków doświadczalnych. Odszedł po 33 latach profesury i kierownictwa umiłowanej placówki badawczej; w okresie tym zmarły trzykrotnie piastował godność rektora stołecznego Uniwersytetu.

Ci z fizyków polskich na obczyźnie, którzy mieli zaszczyt przejść przez „szkołę Pieńkowskiego" i pracując w różnych laboratoriach obcych, mogą należycie ocenić, ile zawdzięczają wymienionej szkole, łączą się dziś ze swymi Kolegami w Kraju w głębokiej żałobie i modlitwie za spokój duszy Nauczyciela.

Niech Zakład, który tak pięknie się zapisał w historii nauki polskiej i zdobył nam imię u obcych, nosi odtąd nazwę Instytutu Fizyki Doświadczalnej Stefana Pieńkowskiego.

Józef Mazur

KRONIKA WYDARZEŃ KULTURALNYCH

KOMUNIŚCI nie mogą sobie poradzić ze świętami Bożego Narodzenia i polską tradycją katolicką. Nawet najbardziej „radzieckie" czasopisma w języku polskim wydały na Boże Narodzenie numery powiększone.

Starannie unikając jakichkolwiek aluzji do Bożego Narodzenia, „Nowa Kultura" przecież wydała numer podwójny, z niewątpliwie świątecznym, gdyż wyjątkowo starannie dobranym materiałem.

Pisma ilustrowane i rozrywkowe mogły sobie pozwolić na zamieszczenie materiałów otwarcie określonych jako „świąteczne", bez wspominania oczywiście o Bożym Narodzeniu. Tak np. „Świat" zamieścił „Grę świąteczną" i konkurs pt. „Podarunki świąteczne", gdzie wśród wybitnych osobistości światowych jest również gen. Anders w kawaleryjskim mundurze. „Przekrój" poszedł o krok dalej, gdyż zamieścił w ozdobnym numerze „najserdeczniejsze życzenia świąteczne i noworoczne" z gałązką jodełki.

Bardzo sucho brzmią życzenia reżymowego „Tygodnika Powszechnego": „Serdeczne życzenia świąteczne" — bez słowa o Wcielonym Bogu.

Jedynie tylko znajdujący się w łaskach i w kumoterstwie z reżymową cenzurą tygodnik „Dziś i Jutro" odważył się swoim czytelnikom złożyć „najlepsze życzenia" — „z myślą o świętach Bożego Narodzenia".

*

W KRÓTKIM odstępie czasu, w grudniu ub. r. umarli dwaj nadworni poeci reżymu sowieckiego w Polsce, K. I. Gałczyński i J. Tuwim. W świątecznym numerze „Przekroju" zamieszczono wywiad z Tuwimem, który zapowiedział wydanie „wkrótce" aż ośmiu nowych książek. „Po ich wydaniu — zapewniał Tuwim — wszystko skończę i zdaje mi się, że napiszę sporo nowych własnych wierszy".

O K. I. Gałczyńskim napisać raczył z samej Moskwy wspomnienie pośmiertne Wiktor Woroszylski.

„Gałczyński był — wedle Woroszylskiego — poetą tragicznym. Tragizm jego polegał na samotności. Nigdy nie miał on przyjaznego środowiska, długo nie znał wspólnoty ludzkiej, którą mógłby serdecznie i szczerze afirmować... Ciężkie doświadczenia wojenne doprowadziły poetę do Polski Ludowej. Ale pragnąc oddać swe pióro walce o socjalizm, o pokój, o przyszłość ojczyzny, Gałczyński nie zdołał się ustrzec poważnych nieporozumień, które w znacznej mierze zniekształciły jego twórczość..."

„Oficjalnie nie istnieje w naszej literaturze podział na „marksistów" i „poputczyków". Nieoficjalnie — zdarza się nam go stosować. Gałczyńskiego zwykliśmy zaliczać do tych drugich."

Otóż i nagrobek dla gorliwego poety: „Tu leży poputczyk".

*

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI ogłosił w „Nowej Kulturze" fragment poematu pt. „Wisła". Jest w nim m. in. następująca strofa:

„I będą te pola pszenne
orane traktorami.
Modły codzienne bez boga
wymyślimy sami."

I taka:

„Ten dom nad Warszawą
dał Stalin.
Chwała Stalinowi. Sławo! Sławo!
Sława stali!"

*

W TEATRZE POLSKIM w Warszawie wystawiono „z dużym pietyzmem" — jak pisze „Nowa Kultura" — „Horsztyńskiego". W roli Horsztyńskiego występuje Karol Adwentowicz, Salomeę gra Elżbieta Barszczewska, hetmana Kossakowskiego — Jerzy Leszczyński.

W Teatrze im. Słowackiego w Krakowie idą „Grube ryby", z blisko stuletnim Wacławem Solskim. W „Starym Teatrze" — B. Shawa „Profesja pani Warren" z Zofią Jaroszewską w roli głównej. Znakomita ta aktorka, wierna przez całe życie Krakowowi gra wspaniale, jak za dawnych lat.

*

RUCH wydawniczy w komunistycznej Polsce jest na sposób sowiecki scentralizowany. Poza Warszawą istnieją tylko fachowe wydawnictwa naukowe.

Jedyny Kraków, posiadający tak wspaniałe tradycje wydawnicze przez długie wieki, próbuje się rozpaczliwie opierać centralistycznej zachłanności ekonomów polskiej książki. Istnieje w Krakowie „Krakowskie Wydawnictwo Literackie". Głównym jego zamierzeniem jest sięgać do bogatej, często zapomnianej tradycji piśmiennictwa galicyjskiego i śląskiego. Wszystkie drukowane utwory zaopatrzone są we wstępy i komentarze, spreparowane oczywiście w duchu doktryny marksistowskiej.

W ramach „Krakowskiego Wydawnictwa Literackiego" wznowiono m. in.: „Dwie noce" Walerego Łozińskiego, „Sezonową miłość" Zapolskiej, „Wybór poezji" Adama Asnyka, „Śluby panieńskie" Fredry, „W roztokach" Wł. Orkana. Opracowany przez Lucjana Malinowskiego pod koniec ubiegłego stulecia duży tom „Powieści ludu na Śląsku" ukazał się w opracowaniu Wilhelma Szewczyka i z ilustracjami A. Stopki.

Z rzeczy nowych na uwagę zasługują: Adama Polewki farsa średniowieczna „Igrce w Barbakanie", kilka powieści historycznych Karola Bunscha (m. in. „Wawelskie wzgórze"), zbiór felietonów satyrycznych Sławomira Mrożka pt. „Półpancerze praktyczne", powieść o Nowej Hucie Ryszarda Kłysia pt. „Ostatnie słowo ma człowiek", Jalu Kurka powieść alpinistyczna „Węzeł Garmo", Kazimierza Barnasia komedia „Mateczka", tom reportaży o tematyce wiejskiej Wł. Machejka pt. „Głęboka orka".

*

UKAZAŁ SIĘ zbiór opowiadań poświęcony polskim oddziałom wojskowym sformowanym w Rosji Sowieckiej przy boku armii czerwonej. Tom pt. „Żołnierskie dni" wypełnili b. żołnierze I Dywizji Kościuszkowskiej.

„TRYBUNA LUDU" O „ŻYCIU"

(Dokończenie ze str. 3)

ry jest p. George Adamski — Polak z pochodzenia.

Tuż obok znajdujemy sprawozdanie z uroczystości jubileuszu 700-lecia założenia uniwersytetu w Salamance. Na uroczystościach tych — dowiadujemy się ku niemałemu zdziwieniu — reprezentowane były „polskie wyższe uczelnie", a to przez niejakiego dra Deryngа. Ten — nie zanadto znany kołom naukowym świata — „przedstawiciel polskiej nauki" przemawiał ni mniej ni więcej tylko imieniem wszystkich wyższych polskich uczelni na obczyźnie(!) i w kraju, a bliscy mu duchowo gospodarze przeznaczyli mu miejsce według starszeństwa ... — nie zgadniecie komu: Uniwersytetowi Jagiellońskiemu. Onże Deryng nie omieszkał wygłosić przemówienia zaopatrzonego w dużą porcję wazeliny dla reżimu generała Franco. Gdy nawet czarna reakcja na Zachodzie przyznaje, że Franco doprowadził Hiszpanię do ruiny gospodarczej, kulturalnej i naukowej, p. Deryng twierdzi, że „...Hiszpania po ciężkiej walce, czerpiąc siły z wiekowych osiągnięć i pracy swych uniwersytetów, odniosła zwycięstwo i uzyskała pełnię narodowego odrodzenia..." i wyraża nadzieję, że Polskę spotka podobny los. Chcielibyśmy uprzejmie zawiadomić p. Derynga, że bliski przyjaciel generała Franco czynił już w swoim czasie wszelkie wysiłki, by pokazać Polsce z bliska praktykę faszyzmu. Ale Polska przetrzymała i to.

Wreszcie — gwóźdź programu. Sprawozdanie z odczytu red. Sopickiego p.t. „Wspomnienia gubernatora Franka". Kulturalno-religijne „Życie" i p. Sopicki traktują jak najbardziej poważnie i życzliwie pamiętniki Franka, pisane w więzieniu norymberskim. Cytujemy: „Pisze on szczerze. W więzieniu doznał przełomu duchowego i zwrócił się ku życiu religijnemu". P. Sopicki referuje bajdy Franka o tym, że „czternaście razy podawał się do dymisji na tle bezskutecznych starań o zainicjowanie polityki zjednywania Polaków oraz z powodu okropności, jakich dopuszczało się Gestapo..." Frank — według prelegenta — wykonywał rozkazy Hitlera, gdyż kierował nim „patriotyzm i poczucie lojalności". Obiektywne „Życie" dodaje przy tym swoją krytyczną uwagę: „U Franka zresztą pewną rolę odgrywał oportunizm, gdyż pisze on, że przyjemniej mu było zajmować wysokie stanowisko, niż zostać rozstrzelanym..."

Przyzwyczailiśmy się do głupoty, do zaprzaństwa, do kłamstwa i do wszelkiego rodzaju „publicystyki" zdrady narodowej na emigranckich łamach. Ale — wyznajemy — nie przypuszczaliśmy, że znajdziemy tam kiedyś bełkot o nawróceniu i uczuciach religijnych Franka, który „z patriotyzmu i poczucia lojalności" oraz „z pewną dozą oportunizmu" patronował najtragiczniejszemu w historii naszego narodu okresowi, kiedy wymordowanych zostało bestialsko 6 milionów obywateli polskich, a Polska obrócona została w kraj żałoby, ruin i zgliszcz. P. Sopickiego i religijno-kulturalnych katolików z „Życia" nie usprawiedliwia nawet fakt, że za katem Polski ujmował się w okresie Norymbergi papież.

Bukiecik jest pełny. Chyba wystarczy jak na jedną stronę jednego numeru. Endecka farsa i międzyplanetarna bzdura, wazelina dla generała Franco i próbka rehabilitacji kata Polski, powieszonego w Norymberdze. Nieźle, jak na tygodnik „religijno - kulturalny" i „najpoważniejszy organ katolicki" emigracji.

Ha, cóż? Takie jest „Życie".

K. Małcużyński"

◆

Pozostawiamy opinię „Trybuny Ludu", urzędowego organu komunistów w Polsce, bez komentarzy. Dobrych żartów najlepiej nie komentować.

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY WYDAWNICTW Z HISTORII LITERATURY POLSKIEJ, TEORII LITERATURY I JĘZYKOZNAWSTWA *)

Opracowała MARIA DANILEWICZOWA, mgr. fil. U.W.

KORCZEWSKI, Wit: B. Baranowski: „Szesnastowieczna wieś polska w Rozmowach Wita Korczewskiego (1553)" („Prace Polonistyczne", X, 1952, str. 35-44).

KORCZYŃSKI, Adam: R. Pollak: „Notatki na marginesie utworów Adama Korczyńskiego" („Pamiętnik Literacki", XLIII, 1952, str. 599-603).

KROMER, Marcin: Claude Backvis: Histoire véridique de la piteuse aventure du Duc Jean de Finlande et de la Princesse Catherine" („Revue des Études Slaves", XXIX, 1952 str. 16-33 i odbitka) — znakomity uczony belgijski potwierdza hipotezę St. Bodniaka o Kromerowym autorstwie „Historyi prawdziwey o przygodzie żałosney...", będącej utworem politycznym w przebraniu romansu pseudo-historycznego.

PAWEŁ Z KROSNA: Alodia Gryczowa: „Wokół Kongresu Wiedeńskiego, 1515" („Pamiętnik Literacki", XLII, 1951, str. 886-907) ogłasza tekst „Carmina Magistri Pauli Crosnensis Rutheni" z unikatu odnalezionego w Bibliotece Miejskiej w Gdańsku.

MODRZEWSKI, Andrzej Frycz: H. Barycz: „Andrzej Frycz Modrzewski" („Zeszyty Wrocławskie", 1951, Nr. 1, str. 29-52) — porównuje M-go z Kopernikiem, widząc w nich pokrewne umysły wyprzedzające epokę niezależnością i oryginalnością poglądów; K. Mężyński: „A. F. M-go De Republica emendanda a cenzura kościelna" („Pamiętnik Literacki", XLIII, 1952, str. 171-193) — dotyczy wyd. I z r. 1551 nie zawierającego księgi „De Ecclesia", która dochowała się w kilkunastu egzemplarzach pierwotnej redakcji pierwodruku (bez cenzury kościelnej).

MORSZTYN, Jan Andrzej: „Wybór poezji" w opracowaniu J. Dürr-Durskiego, wyd. 2 rozszerzone (Warszawa, Książka i Wiedza, 1952, str. 163) — w serii „Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych", t. 49.

MORSZTYN, Stanisław: w rozprawie poświęconej temu zapomnianemu poecie („Pamiętnik Literacki", XLII, 1951, str. 766-95) — J. Dürr-Durski pracowicie zestawia i komentuje szczupłe dane biograficzne poety związanego dość luźno z ruchem ariańskim.

OPALIŃSKI, Krzysztof: B. Baranowski: „Społeczno-polityczne tendencje „Satyr" K. Opalińskiego" („Prace Polonistyczne", IX, 1951, str. 25-42).

PASEK, Jan Chryzostom: w „Bibliotece Narodowej" (seria I, nr. 62) wydawanej nakł. Zakł. Narodowego im. Ossolińskich ukazało się w r. 1952 pełne wydanie krytyczne „Pamiętników" w opracowaniu Wł. Czaplińskiego.

REJ, Mikołaj: J. Krzyżanowski: „Z problemów rejowskich" („Pamiętnik Literacki") XLIII, 1952, str. 463-74) — dotyczy 1) rejowskiej adaptacji Th. Naogeorgiusa: „Mercator seu judicum" (1540) i 2) analogij pomiędzy „Kupcem" a „De morte prologus".

ROJZJUSZ, Piotr (ROYZIUS MAUREUS, Petrus): Z. Szczakowski: „Z dziejów fraszki przed J. Kochanowskim" („Prace Polonistyczne" X, 1952, str. 13-34) — analiza utworów i życiorys R-a ze szczególnym uwzględnieniem krakowskiego okresu życia „Doktora Hiszpana".

W. XVIII - XIX (do początków romantyzmu).

1. Ogólne. T. Mikulski: „Stan badań i potrzeby nauki o literaturze wieku Oświecenia" („Pamiętnik Literacki", XLI. 1950, str. 841-60 i przedruk w książce zbiorowej p.t. „O sytuacji w historii literatury polskiej", j.w.) — widzi w Oświeceniu początek nowożytnej literatury polskiej i podkreśla radykalne i postępowe poglądy głównych przedstawicieli tego kierunku. W „Walce o język polski w czasach Oświecenia" („Pamiętnik Literacki", XLII, 1951, str. 796-815), tenże autor omawia działalność obrońców jęz. polskiego i starania ich o wyplenienie łaciny i francuszczyzny. J. Kott w „Trwałych wartościach literatury polskiego Oświecenia" (Warszawa, Państw. Instytut Wydawniczy, 1951, str. 71, (8) — a nadto w „Pamiętniku Literackim" (XLII, 1951, str. 617-42) i „Twórczości" (IV, 1951, str. 134-153) omawia znaczenie Oświecenia z marksistowskiego punktu widzenia.

Znakomitym wprowadzeniem do zagadnień polskiego życia kulturalnego w epoce stanisławowskiej jest obszerna praca prof. Jean Fabre'a p.t. „Stanislas Auguste Poniatowski et l'Europe des lumières" (Paris, Soc. d'Edition Les Belles Lettres", 1952, str. III, 746, bibliogr. — w serii „Publ. de la Faculté des Lettres de l'Univ. de Strasbourg" nr. 116.

Prace monograficzne i przyczynki: J. Nowak-Dłużewski: „Ze staropolskiej poezji politycznej. 1. Z poezji Rokoszu Zebrzydowskiego, 2. Epigramaty Stan. Konarskiego" („Pamiętnik Literacki", XLIII, 1952, str. 548-61) — dotyczy w. XVII - XVIII; J. Maciejewski: „Z zagadnień literatury stanisławowskiej" („Prace Polonistyczne", X, 1952, str. 77-89); J. Kott: „Warszawa w nieznanych wierszach polskiego Oświecenia" („Twórczość" VIII, 1952, nr. 12, str. 121-134); M. Mrozińska: „Satyra na dyrekcję budowli JKM Stanisława Augusta" („Biuletyn Historii Sztuki", 1951, nr. 4, str. 138-149); M. Chamcówna: „Dyskusja nad katedrą literatury w Szkole Głównej Koronnej" („Pamiętnik Literacki", XLI, 1950, str. 988-1010) — omawia projekty H. Kołłątaja z r. 1776; — Karyna Wierzbicka: „Źródła do historii teatru warszawskiego", 1762-1833, cz. I: Czasy stanisławowskie (Wrocław, Zakł. Narodowy im. Ossolińskich, 1951, str. VIII, 201); — C. Bobińska: „Szkice o ideologach polskiego Oświecenia. Kołłątaj i Staszic" (Wrocław, j.w., 1952, str. 169 w serii „Studia Historyczno-literackie", t. X); — St. Pigoń: „Z dziejów dawnego teatru szkolnego" („Pamiętnik Literacki", XLIII, 1952, str. 287-311) — opisuje działalność O. Piotra Krasuskiego, pijara, tłumacza F.F. Le Jay'a i Charles Porée'go; — A. Rombowski: „Rękopis Byczyński" („Pamiętnik Literacki", XLIII, 1952, str. 604-9) analizuje t.zw. „Kancjonał byczyński", odnosząc go do początków XVIII w.; — R. Horoszkiewicz: „Robotnik i chłop w poezji polskiej na Opolszczyźnie w XVII i XVIII w." („Zeszyty Wrocławskie", VI, 1952, nr. 3, str. 117-124) — dotyczy 1) „Officina Ferraria" W. Rożdzieńskiego, 1602, 2) utworu anonimowego „Polak w Śląsko" (1620) i 3) pieśni ludowych w XVIII w.; — Z. Skwarczyński: „Bajka polska wieku Oświecenia w wyborze" wyd. 3, Warszawa, Książka i Wiedza, 1952, str. XVI, 150 w serii „Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych", t. 22.

150 rocznica założenia Tow. Warszawskiego Przyjaciół Nauk przyniosła pełną reżymowych ukłonów rozprawę B. Suchodolskiego: „Rola Warszawskiego Tow. Przyjaciół Nauk w rozwoju kultury umysłowej w Polsce" (Warszawa, Tow. Naukowe Warszawskie, 1951, str. 205) i artykuł J. Michalskiego: „Towarzystwo Przyjaciół Nauk", („Zeszyty Wrocławskie", 1951, nr. 1, str. 96-109).

W tomie szkiców Tadeusza Mikulskiego p.t. „Spotkania wrocławskie" (Wrocław, Książnica-Atlas, 1950, str. 384) znajdujemy m.in. barwne relacje o pobytach we Wrocławiu: Stan. Konarskiego, Józ. Wybłckiego, Stan. Staszica, Hugona Kołłątaja i Juliana Ursyna Niemcewicza. — W „Twórczości" (Nr. 3 z r. 1951, str. 124-33) J. Kott ogłasza drobne inedita St. Trembeckiego i Kaj. Węgierskiego. W „Pamiętniku Literackim" (XLI, 1950, str. 965-87) J. Nowak-Dłużewski ogłasza drobne materiały z zakresu literatury politycznej Sejmu Czteroletniego a R. Kaleta (j.w., str. 936-64) okazy „Poezji antytargowickiej i jakobińskiej". R. Kaleta opublikował nadto p.t. „Karuzel" („Pamiętnik Literacki". LXII, 1951, str. 917-68) ciekawe utwory okolicznościowe związane z ufundowaniem pomnika Jana III Sobieskiego przez Stanisława Augusta.

M. Dziewisz (i inni) dają marksistowską ocenę „Obozu klasyków, 1815 - 1830" w zbiorowym omówieniu w „Pracach Polonistycznych" (IX, 1951, str. 101-14); — A. Kowalska: „O felietonie Gazety Warszawskiej, 1816-1820" („Prace Polonistyczne", IX, str. 115-146.)

(Ciąg dalszy nastąpi)

Maria Danilewiczowa

*) Por. nry 23 (311), 27 (315), 36 (324), 40 (328), 45(333) i 49 (337).

OBCHÓD KU CZCI KLEMENSA JANICKIEGO

W dniu 13 grudnia ub.r. odbył się w miasteczku powiatowym Żnin, w Wielkopolsce, specjalny obchód ku czci poety Klemensa Janickiego, jednego z największych poetów polskich z epoki Odrodzenia (wiek XVI), nagrodzonego przez Papieża wieńcem laurowym, którego obecnie komuniści usiłują przedstawić społeczeństwu polskiemu jako prekursora komunizmu. Klemens Janicki był synem wieśniaka ze wsi Januszkowo pod Żninem. Marszałek koronny, Piotr Kmita, poznawszy jego wybitny talent, wysłał go na studia do Włoch.

Obecnie w Żninie buduje się powiatowy dom kultury, który nazwany będzie imieniem Klemensa Janickiego. Jest to metoda politruków reżymu: imieniem sławnego poety polskiego nazywają dom, w którym będzie się komunizować młodzież polską. (IC)

ZAPOWIEDŹ REFORM W SZKOLE ŚREDNIEJ

W dniu 17 grudnia 1953 roku zakończyła się trzydniowa konferencja naukowa w Akademii Nauk w Warszawie, „poświęcona zagadnieniom wykształcenia ogólnego". Konferencja zwołana została w związku z pracami „nad reformą programu nauczania w szkole średniej ogólnokształcącej". Nowe programy nauczania w szkołach średnich wejść mają w życie za dwa lata, z początkiem nowej pięciolatki.

Propaganda reżymowa nie wyjawia na razie, w jakim kierunku pójdą te zmiany. Uczestnicy konferencji „wyrazili przekonanie, że pogłębienie pracy dydaktycznej w szkole stanie się jednym z ważnych czynników kształcenia socjalistycznej świadomości młodzieży i podstaw jej naukowego poglądu na świat". Jest rzeczą oczywistą, że zmiany w programach nauczania w szkole średniej przewidywane są głównie w tym celu, by zapewnić jak najbardziej skuteczne sowietyzowanie młodzieży polskiej. Na razie reżym chwali się, że zakończył proces przeszkolenia ideowego nauczycieli. Odsunięcie planów reorganizacji nauczania o dwa lata wskazywałby jednak, że dotąd jeszcze nauczyciele nie są w zupełności przerobieni na komunistyczną modłę. (IC)

JÓZEF KISIELEWSKI

INŻYNIEROWIE POLSKICH DUSZ

Z problemów polskiej publicystyki emigracyjnej: felieton Zygmunta Nowakowskiego; artykuł „Orła Białego"

Uwagi niżej zamieszczone dotyczą felietonu Zygmunta Nowakowskiego „Rokosz Zebrzydowskiego" („Dziennik Polski" z 16 grudnia 1953 r.) na temat działalności Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" i jednego z jego ostatnich wydawnictw p. t. „Kalendarz Rodziny Polskiej", oraz niepodpisanego artykułu „Dziwny kalendarz" w „Orle Białym" (z 12 grudnia 1953) na ten sam temat. Niezależnie od tych dwóch artykułów, część uwag poświęcona będzie ogólnym stosunkom, jakie panują na emigracji.

Sama bowiem sprawa, poruszona we wspomnianych artykułach, jest właściwie prosta i krótka, dało by się ją omówić w kilkudziesięciu wierszach. Artykuły wszakże, które ją poruszają, są, niestety, symptomem zagadnienia głębszego, stąd temat wymaga omówienia szerszego.

KALENDARZ

Felieton „Rokosz Zebrzydowskiego" składa się z trzech warstw treściowych: z krótkiego założenia, z błyskawicznego chwytu technicznego i z długiej, ostrej, nieprzebierającej w środkach młócki.

Założenie jest takie: autorzy „kalendarzyka historycznego" w „Kalendarzu Rodziny Polskiej" opuścili daty dotyczące dużej części nowej historii Polski, przede wszystkim zaś daty dotyczące Józefa Piłsudskiego. Uczynili to świadomie i celowo. Mało tego! Aby jeszcze bardziej poniżyć tego, który wśród pocztu królów polskich śpi teraz swój sen wieczny w krypcie pod Wieżą Srebrnych Dzwonów, na dzień 6 sierpnia, który w r. 1914 był pierwszym dniem wojennym Legionów, wstawili datę roku 1606, kiedy to na dzień 6 sierpnia wypadł jeden z najhaniebniejszych wypadków polskiej prywaty, rokosz Zebrzydowskiego.

Założenie samo nie wystarcza. Aby je uprawdopodobnić, trzeba jeszcze szminki, trzeba owego błyskawicznego chwytu technicznego. Więc Nowakowski pisze: „Pośród stu dwudziestu, ekonomicznie, oszczędnie wyliczonych, **najważniejszych momentów historii polskiej** (podkreślenie moje), znalazło się miejsce na ów rokosz."

Czytałem kiedyś jakiś inny felieton, bodajże nawet samego Nowakowskiego, zajmujący się wyścigami psów. Na zawodach tego szlachetnego sportu organizatorzy podobno używają wobec nieszczęsnych psów brzydkiego podstępu: puszczają im przed nosem zające, które wcale nie są zającami, ale namiastkami zajęcy, z pakuł, kleju i farby. Głupi pies daje się na ten podstęp nabrać, goni, ujada i zbija właścicielowi forsę. We wspomnianym felietonie autor uważał, że w stosunku do psów nie jest to fair play. W stosunku do ludzi metoda taka jest jednak właściwa. W „Rokoszu Zebrzydowskiego" pieskami mają być czytelnicy. Zając (bo chyba nie trzeba tego rzeczownika zdrabniać?) Nowakowskiego z pakuł, to wstawka, że „kalendarzyk historyczny" jest skrótem historii polskiej. Zastosowało się więc tu taki drobny, niemal niewidoczny inżynieryjny zabieg, aby móc powiedzieć o białym, że jest czarne, i na odwrót.

„...sto dwadzieścia **najważniejszych** dat z dziejów polskich..." A czemuż to, Panie, gospodarujesz nieupoważniony na cudzym, nieswoim polu? Czy po to, aby w ogóle móc uderzyć? Nowakowski nie baczy, że chodzi tu o daty przy calendarium, przy dniach i miesiącach. Taki „kalendarzyk historyczny" ani jest, ani nie zamierzał być, ani nie mógł być skrótem historii polskiej. Dzieje się to z następujących zasadniczych przyczyn:

Po pierwsze — bo wydawca nie mógł go tym uczynić; gdyby było inaczej, tytuł nie brzmiałby „kalendarzyk historyczny", ale „120 najważniejszych dat z historii ojczystej" i byłby umieszczony osobno. Kalendarzyk historyczny przy dniach i miesiącach calendarium musi się stosować do chronologii kalendarzowej roku, a nie do chronologii dziejowej.

Po drugie — dlatego, że nigdy te działy w kalendarzach nie zawierały zestawień całej historii, ale podawały daty na wyrywki, zmieniane co roku. (A kalendarze i ich konwencje, to nie wymysł „Veritasu", to bardzo dawna polska gałąź wydawnicza; i bardzo okresami zasłużona także, zwłaszcza w XIX wieku, kiedy w dwóch zaborach była żywicielką polskości.)

Po trzecie — dlatego, że to niemożliwe. Żeby w polskich warunkach w ogóle można było ustalić 120 najważniejszych dat przy calendarium, a nie w osobnym artykule, trzeba by na to stu najtęższych historyków i pięciu lat międzypartyjnych rokowań, dłuższych nawet od rokowań o zjednoczenie. Nowakowski pisze: „Redakcja kalendarza nie znalazła miejsca na Mickiewiczów, lub Szopenów czy Paderewskich, pominęła starannie wszelakie Monte Cassina i Falaise'y, wszystkie osobistości albo żyjące jeszcze albo niedawno zmarłe lub zabite, wszystkich wybitnych ludzi przed 1918 r., z okresu niepodległości i z okresu tej wojny, a tryumfalnie wyiskała postać Zebrzydowskiego." Ranyboskie! — jak się mówiło na Krowodrzy — czy jest człowiek przy zdrowych zmysłach, który by mógł wymagać, aby to wszystko zmieścić na 120 wierszach druku! A do tego przecież jeszcze najważniejsze daty Piłsudskiego i — zgódźmy się — trochę królów dawniejszych też. W innym miejscu felietonu Nowakowski wymaga ponadto, aby prócz faktu i osoby, z którą ten fakt jest związany, dawać informacje, na czyje polecenie osoba fakt zdziałała i co później ta osoba zrobiła. Słowem system małych rozprawek historycznych. I to wszystko na 120 wierszach druku, przy poszczególnych dniach miesięcy! No, no.

(Nowakowski zresztą i z innego punktu widzenia nie pisze prawdy. W „Kalendarzu Rodziny Polskiej" jest duży wiersz tegoż Mickiewicza i kilkunastu największych poetów polskich, jak również artykuł o Szopenie.)

Po czwarte. — Skoro tedy jest jasne, że to nie był ani mógł być skrót historii polskiej, — dlaczego z tego wszystkiego ma wynikać, że wszyscy, którzy nie myślą jak Pan Nowakowski, to zaraz ludzie złej woli? Dlaczego w tej sytuacji nie zostawić wydawcy prawa swobody wyboru takiej koncepcji „kalendarzyka historycznego", jaka wydaje mu się najlepsza i jaka jest przy calendarium możliwa. W danym wypadku koncepcja jest zupełnie przejrzysta i zupełnie nie tajemnicza. Chcieliśmy dać rodzinie polskiej i dzieciom tej rodziny trochę dat, których się nie pamięta, które się zapomniało. Ważne daty Dwudziestolecia i ważne daty Piętnastolecia wojenno-uchodźczego ludzie pamiętają, mogą o nich dzieciom mówić. Na 118 dat w „kalendarzyku historycznym" (przy jednej z oczywistym błędem druku) 102 dotyczy dawnej historii polskiej (do powstań), 17 nowej; a z tych 17, oprócz dwóch dat z II wojny światowej, wszystkie przypominają wypadki mniej pamiętane. Przy takim założeniu, przypomnienie rokoszu Zebrzydowskiego ma również swój pedagogiczny sens. Warcholstwo to, niestety, specjalność nie tylko XVII wieku, w wieku XX odzywa się też. Aż miło.

Po piąte i ostatnie. — Obydwaj krytycy, z „Dziennika Polskiego" i „Orła Białego", insynuują w swoich artykułach, że to partyjnicy, przywdziawszy dla niepoznaki maski katolickie, świadomie i celowo sporządzili jednostronny „kalendarzyk historyczny", „skreślając"— jak mówi Nowakowski — Piłsudskiego. Jestem pewny tego, że we wszystkim, nawet w pisaniu felietonów i w wodzeniu ludzi za nos, potrzebny jest namysł. Jakżeż bowiem ten zarzut w świetle dziennym wygląda? Gdyby tak było, jak obaj imputują, to automatycznie pojawiłyby się daty „przeciwne". Tymczasem w „kalendarzyku" nie ma Piłsudskiego, ale nie ma i Paderewskiego, Dmowskiego, oraz Witosa; nie ma 11 listopada, ale nie ma i podpisania Traktatu Wersalskiego przez Dmowskiego i Paderewskiego; nie ma Legionów, ale nie ma i Powstania Warszawskiego.

Nie ma jednej z najważniejszych dat z nowej historii Kościoła — zawarcia Paktu Lateraneńskiego, nie ma daty śmierci Kardynała Hlonda i ingresu Prymasa Wyszyńskiego, nie ma daty encykliki „Mystici Corporis", jednego z największych aktów chrześcijaństwa ostatnich stuleci. A przecież to kalendarz katolicki. Chwila zastanowienia, a zaraz by się zrozumiało, że takie zarzuty „nie chycą", bo po pierwszej chwili efektu odsłaniają swą nicość.

Wszystko, co powyżej napisałem, to rzeczy jasne i oczywiste. Gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, może mieć dodatkowy dowód. Niech weźmie do ręki kalendarz gazety, w której felieton Nowakowskiego ukazał się, „Kalendarz Dziennika Polskiego". Tam na rok 1954 daty historyczne zostały załatwione też objętością jednej strony. I też — mimo, że to już tekst, a nie ograniczone miejsce calendarium — wzięto koncepcję pomocniczą, w postaci spisu „Rocznic polskich w 1954 r.". W tym spisie rocznic iluż brak! Nie ma podpisania Traktatu Wersalskiego, ani zwołania Sejmu Ustawodawczego, choć te pełne rocznice na ten rok właśnie przypadają. Mógłbym tych pominiętych dat wyliczyć więcej. Ale może najważniejszy brak, to **ominięcie przypadającej na rok bieżący dziesiątej rocznicy Bitwy o Monte Cassino**, tego Monte Cassino, którego brak tak nieostrożnie wyrzuca nam Nowakowski.

Lecz chyba i to nie jest jeszcze najznamienniejsze. Oto w roczniku „Kalendarza Dziennika Polskiego" na r. 1953 **nie ma daty 11 listopada**. Czyli, że opuszczenie tej daty jest przy wydaniu kalendarza możliwe. Tylko, że gdy to zrobi wydawnictwo, którego Nowakowski jest współpracownikiem, to rzecz jest w porządku, gdy to zrobi instytucja konkurencyjna — to zbrodnia. Czy tak?

Stawiam Nowakowskiemu zarzut, że napisał swój potępiający felieton bez żadnych rzeczowych podstaw. Że — dalej — napisał go metodą i stylem „inżynierii społecznej" (o czym będzie mowa później), używając podstępu, polegającego na podstawieniu fałszywego kryterium. Stawiam mu zarzut nierzetelnego omówienia „Kalendarza" „Veritasu", przy niewyjaśnieniu typu i proporcji „kalendarzyka historycznego" w stosunku do całości wydawnictwa. Stawiam w końcu zarzut próby piętnowania katolickiej instytucji wydawniczej na podstawie zmyślonego powodu i z zaciekłością, o której prawdopodobnych przyczynach powiem niebawem.

W takiej inżynierce felietonowej ryzykowny jest tylko moment początkowy. Czy czytelnik spostrzeże machinacje, czy nie. Jeżeli nie spostrzeże, to po krzyku. Można wdziewać ulubione szaty Wernyhory i jechać na całego. Rąbać, szczuć, denuncjować, grzmieć i drzeć narodowe szaty, aż powietrze stęka. A przy tym podniosłym akompaniamencie dać do zrozumienia, że ten czy ów jest zapowietrzonym szkodnikiem, bo to też do obyczaju emigracyjnego zaczyna należeć.

„VERITAS"

A teraz, jak to jest naprawdę z zaniedbaniami, z ominięciami i jednostronnością polityczną „Veritasu"?

Naprzód omijanie Józefa Piłsudskiego. Z tekstów o jego osobie, rozsianych po rozmaitych wydawnictwach Katolickiego Ośrodka można by ułożyć osobną antologię o rozmiarach sporej broszury. W r. 1955 ma wyjść w „Bibliotece Polskiej" gruby, zbiorowy tom wspomnień (najprawdopodobniej „premiowy", a więc objętości antologii Borowego) p. t. „Ludzie Dwudziestolecia". W tomie tym znajdują się także wspomnienia o pierwszym marszałku Odrodzonej Polski. Koncepcja tego wydawnictwa polega na próbie ratowania od zaginięcia wspomnień osób jeszcze żyjących, a które dotąd wspomnień swych nie spisały. Taką książkę zaplanował i wyda „Veritas". Nie słyszałem dotąd, aby kto inny choćby bodaj pomyślał o podobnym wydawnictwie.

11 listopada. Nowakowski pisze: „Zbieramy się wprawdzie co roku w ten dzień, urządzamy akademie, wieczory, odczyty, ale „Veritas" tego nie dostrzega." Na dzień 11 listopada „Veritas" łupie tłustym drukiem, na najlepszej stronie swego największego tygodnika wstępny artykuł, drukuje okolicznościową odezwę Prezydenta Rzeczypospolitej, a później tygodniami zadrukowuje całe sterty papieru szerokimi sprawozdaniami z „akademii, wieczorów, odczytów" 11 listopada. Z głuchą rozpaczą zastanawiam się, dlaczego w tych czasach chorych na kłamstwo i Polacy tak niegodziwie kłamią. I nad jeszcze jednym się zastanawiam, jak długo polskie masy dadzą się takim kłamstwom wodzić za nos?

Pomijanie wysiłku żołnierza polskiego. Zarzucono nam, że pominęliśmy „Monte Cassina i Falaise'y", że więc nie doceniamy wysiłku żołnierskiego. W dotychczasowym swoim dorobku ma „Veritas" — w czasopismach — dziesiątki tysięcy wierszy druku na temat walk (chyba wszystkich) żołnierza polskiego i — w książkach — około 1.000 stron druku na ten sam temat. Na rok 1954 „Veritas" zapowiedział — i to było grubo jak wół wydrukowane — wydanie trzech dużych książek z tego zakresu: walki 1939/41, walki 1941/45 i Monte Cassino. Ta ostatnia książka będzie nosiła tytuł: „Na polach bitew II Korpusu". Aby ją wydać, trzeba wysłać pisarza, aby przedeptał raz jeszcze ten szlak nieujarzmionej polskiej wiary, trzeba napisać, ozdobić, zebrać fotografie, wydrukować, oprawić i rozprowadzić. Wielki trud, zwłaszcza, że ma to być — w dziesięciolecie walk — wydanie szczególnie staranne.

Ale prawda. Nie zapowiedzieliśmy książki o Falaise. Rzeczywiście książka taka nie wyjdzie. W przyszłym roku będziemy zajęci stawianiem na nogi pism i czytanek dla dzieci i młodzieży. Więc na razie o Falaise — nie możemy. Wszakże nieśmiało, bardzo nieśmiało ośmielamy się zapytać: a panowie krytykastrzy, to już nie mogliby sami czegoś z tego zakresu zrobić? Zamiast szukać dziury na całym u innych?

A może nastrój „Kalendarza Rodziny Polskiej na Rok Pański 1954" szwankuje? Może jest jałtański i mikołajczykowski? Może endecki, może nidowy, może ciołkoszowy? W całym tekście nie ma ani jednej nuty „politycznej". Motywy przewodnie „Kalendarza Rodz. Polskiej" są dwojakie: wiara katolicka i wiara w bezprzymiotnikową — to prawda — Polskę. Jeśli o ten ostatni motyw chodzi, można powiedzieć, że wydawnictwo opływa polskością. Zwłaszcza jej miejscami najbardziej zranionymi — kresami. Przesiąknięty jest tym samym duchem, którym tchnie wiersz mojej młodości, wiersz napisany przez polskiego poetę i żołnierza Piłsudskiego, zamykający tekst „Kalendarza", a który tu raz jeszcze na wieczną rzeczy pamiątkę powtarzam. Dziecku polskiemu na emigracji świecki testament daje trzecia zwrotka tego wiersza i zamieszczony pod nią symbol: książka, miecz i gałązka rozmarynu.

Taka jest prawda-veritas Katolickiego Ośrodka Wydawniczego. Za nią to, a nie za co innego dostał on pałą po głowie, ale taka to już jest kolej losu wszystkich prawdziwych prawd. A Pan dr Zygmunt Nowakowski — jeśli tak dalej pójdzie — to będzie musiał chyba zmienić tytuł. Odrzucić tytuł doktora, przybrać zaś tytuł inżyniera. „Inż." Zygmunt Nowakowski. „Inżynier" rozterki domowej. Honoris causa.

SŁOŃ A SPRAWA POLSKA

Przed dwoma laty przez całą prasę sowiecką, przez prasę krajów okupowanych i przez prasę komunistyczną na Zachodzie przeszła fala oburzonego krzyku na anglosaskie barbarzyństwo kulturalne w okupowanych Niemczech. Krzyk trwał parę tygodni. Chodziło o to, że okupacyjne władze anglosaskie skonfiskowały i skazały na spalenie wydania „Zbójców" Schillera i dwóch innych niemieckich dzieł klasycznych, wydrukowanych we wschodnich Niemczech. Tytuły komunistycznych artykułów brzmiały: „Anglosasi palą niemieckie arcydzieła". Rzecz się tak miała w istocie. Anglosasi kazali książki spalić. Treść komunistycznego oburzenia była więc formalną prawdą.

Ale nie była to prawda faktyczna. Okoliczności tak się złożyły, że przypadkiem zetknąłem się ze sprawą bliżej. „Zbójcy" Schillera i dwa inne utwory literackie zaopatrzone zostały przez wschodnio-niemieckich komunistów w kilkudziesięciostronnicowe przedmowy polityczne, pełne najbrutalniejszych insynuacji pod adresem państw zachodnich. Rzeczowniki „zbójca" i „podpalacz", należy do najłagodniejszych epitetów, jakich użyto. „Zbójcy" Schillera zostali istotnie spaleni, lecz nie za tekst dzieła, zostali spaleni za komunistyczne przedmowy.

To przeinaczanie prawdy, przedstawianie fałszu za rzecz prawdziwą, jest wielką umiejętnością i treścią naszych czasów. Jest podstawą tego, co już nawet otrzymało swoją własną nazwę „inżynierii duchowej", lub „inżynierii społecznej". U podstaw tej doktryny stoi założenie, że w stosunku do człowieka nie należy inaczej postępować, niż się postępuje w stosunku do cegły i belki żelaznej. Trzeba tylko wprzód zespoły jednostek ludzkich sprasowywać w zwarte bloki, w cegły jednego myślenia, czucia i działania. Inżynieria duchowa służy właśnie do tego prasowania, jako jej drugi system. Pierwszym jest przymus fizyczny, obozy koncentracyjne albo łagry, drugim chwyty społeczno-inżynieryjne z szerokim wachlarzem półprawd i prawdpozorów.

Ta choroba wieku jest specjalnością krajów totalitarnych. Ale jej odpryski wcale nie omijają krajów wolnego świata. Raz po raz łapie się jej symptomy. Gdy prasa Zachodu przemilcza krzywdę milionów, przekręca prawdę oczywistą jak słońce, gdy w innych wypadkach, na niewidzialną komendę, nabiera na jakieś tematy wody w usta, gdy ślepnie i głuchnie, gdy historię Polski przedstawia jako pasmo wiecznego zagrożenia Rosji — to cóż to jest, jeśli nie symptomy tej samej inżynieryjnej choroby?

Należy bardzo baczyć, aby bakterie epidemii nie przeszły na Polaków, których przecież cała tragedia płynie z istnienia tej choroby czasu. Jeśli podłużam ten artykuł, jeśli dodaję doń niejako część teoretyczną, to dzieje się to dlatego, że chcę przestrzec bardzo gorąco przed tym niebezpieczeństwem. Nie rozsądne jest podpiłowywać gałąź, na której się samemu siedzi.

✦

„Kalendarzyk historyczny" ma w normalnym składzie równe 120 wierszy, czyli mniej niż jedną stronę. Cały „Kalendarz" ma takich stron 208, czyli, że krytykowany odcinek jest mniej niż 1/208 częścią całości. Tom „Kalendarza" jest jedną spośród kilkudziesięciu pozycji książkowych wydanych przez „Veritas" w ostatnich latach. Są to dziesiątki tysięcy stron i, ogólnie licząc, 125.000 egzemplarzy łącznego nakładu. Czymżeż jest ta jedna, jedyna stronniczka „kalendarzyka historycznego" wobec tych cyfr? Niczym, drobiną. Ale ona to właśnie, ta drobina staje się w tych naszych obrzydliwych „czasach pogardy" podstawą do uderzenia na całość książki, ba, na całość wydawnictwa! W felietonie autora mniej interesuje nazwa „Kalendarza", interesuje go nazwa całej instytucji. Aż się pławi w żonglowaniu aluzjami opartymi na jej znaczeniu. Jeszcze mu wdzięcznym być trzeba, że nie ukuł kalamburu z równaniem „Veritasu" na moskiewską „Prawdę". Bo i to mogło być.

Nawet gdyby ten „kalendarzyk historyczny" był zupełnym potknięciem, nawet gdyby wszystkie wymyszkowania Nowakowskiego były prawdziwe, nawet gdyby to najgorsze podejrzenie o miotnięciu błotem na 6 sierpnia było słuszne, nawet wówczas ta jedna strona nie mogła być podstawą do charakterystyki pięciu lat ciężkiej pracy kilkudziesięciu ludzi.

Przed rokiem podniósł Nowakowski wrzawę o to, że Kombatanci dali na przemiał kilka tysięcy zbutwiałych i przestarzałych książek. Nie bardzo sądzę, żeby zawinili Kombatanci; oni tylko ponosili konsekwencję poprzedniej rozrzutności i niechlujstwa innych. Ale w zasadzie miał Nowakowski rację: czemu dopuszczono do zbutwienia! Tylko, że kryteria muszą być już stosowane wszędzie, skoro się ich raz użyło. Kilka tysięcy zauważył, że brakło, ale ponad stu tysięcy nie zauważył, że narosły. I to narosły, nie zbutwiałe. Nowe, prosto z pieca. Jeszcze ciepłe i z tą ciepłotą idące w świat. Ten publicysta, który pisze o wszystkim, skwitował w ciągu ostatnich lat pracę „Veritasu" sporą porcją złośliwych szpilek. Poza tym niczego nie zauważył. Aż dopiero teraz zjechał całą działalność na podstawie tekstu, który się zmieści na jednej stronie druku.

Proszę o tej całej sprawie pomyśleć zupełnie po prostu i po ludzku. Oto robi się taki kalendarz z olbrzymim nakładem trudu i pieniędzy. Zbiera się teksty, gromadzi kilkadziesiąt zdjęć ojczystych kątów, daje wiersze kilkunastu wielkich poetów, daje ten legionowy „Testament" na wydźwięk końcowy, układa kalendarzyk, zaiste sto mil od jakiejś intencji. Wychodzi z tego po miesiącach pracy rzecz napewno jeszcze niedoskonała i napewno z błędami, ale już wprowadzająca nowy na emigracji typ ilustrowanej czytanki, przesyconej polszczyzną. A tu przychodzi taki pan i od niechcenia, jednym wzburzeniem żółci depcze to wszystko i czyni z tego całego starania — paskudztwo. Bo mu się tak zdawało! Bo dla jednego wyssanego z palca podejrzenia nie wahał się stawiać pod pręgierz katolickiej instytucji i jej pracy. Prawda, ten jego felieton jest wybitnym przykładem współczesnej sztuki inżynierii społecznej operowania prawdami pozornymi. Ale my, u siebie, w polskim społeczeństwie tej inżynierii nie chcemy. Dość jej teraz w Polsce. A może chcemy? To teraz w Polsce okupowanej przez Sowiety węszy się i mierzy w artykułach i książkach stopień prawomyślności autorów i wydawców, że za mało komuś, a za dużo innemu. A po węszeniu — na cyngiel.

✦

Inny publicysta emigracyjny daje w „Orle Białym" taki znów majstersztyk techniki: Po podobnym wytknięciu złego sporządzenia „kalendarzyka historycznego", po stwierdzeniu, że całość wydawnictwa „zakrawa na skandal" oraz po dysertacji o błędnym wyborze wiadomości katolickich przez wydawców, autor artykułu pisze: „W Kalendarzu nie wspomniano jednym nawet słowem o świętokradczym targnięciu się na osobę Prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego". Poucza przy tym, łypiąc okiem pod adresem polskich Władz Kościelnych, a wskazując palcem na „Veritas", że aresztowanie Prymasa Polski to może epoka w dziejach Kościoła Polskiego i w dziejach Polski, a czytelnik przez cały rok 1954 o tym się nie dowie. Słowem, Przewielebni Prałaci, z „Veritasem" trzeba zrobić porządek.

A jak się ta sprawa przedstawia na prawdę?

Kiedy przyszła tragiczna wiadomość o aresztowaniu, arkusze „Kalendarza" „Veritasu" były już w druku. Tomu o 208 stronicach in quarto nie robi się w ciągu miesiąca. Nawet gdybyśmy o tym fakcie nie dali ani słowa, nikt nie mógłby mieć za to najmniejszej pretensji. Nie jesteśmy jasnowidzami. A na końcu książki znajduje się odpowiednia notatka o zamknięciu materiału redakcyjnego z pewną datą. **Ale wiadomość jest!** Zatrzymaliśmy maszyny, usunęliśmy trochę innego tekstu i tłustym drukiem (który łatwo rzuca się w oczy) napisaliśmy (str. 61) o nowej zbrodni sowieckiej. A taki pan pisze: „nie wspomniano ani słowem". Jakże można potępiać za brak czegoś, co jest? I jakże można pisać recenzję z czegoś, czego się nie przeczytało? I to się nazywa niepodległościowe dziennikarstwo, walczące o sprawiedliwość!

✦

A teraz porzućmy na chwilę dwóch naszych adwersarzy i zajmijmy się tłem, na którym taka publicystyka może w ogóle powstać. Bo przecież narzuca się pytanie, dlaczego ta nagonka powstała, skoro merytorycznych podstaw do niej w samym „Kalendarzu" nie ma?

Cała sprawa ma oczywiście za przyczynę owo stałe i jakoś ciągle nieusuwalne przekleństwo polskie — tło „polityczne". Część t. zw. „góry" londyńskiej przeżarta jest politykierstwem najgorszego gatunku. Jej dziennikarze natrząsają się z wyborów na prezydenta Francji, ale tamte farsowe wybory niczym są jeszcze w porównaniu z tym, co się u nas wyprawia. Żeby w chwili, kiedy od zjednoczenia wszystkich zdrowych polskich sił zależy szansa forsowania sprawy polskiej, nie doprowadzić do zjednoczenia, ale bawić się w nagłe wybory i dywersyjne dymisje rządu, to trzeba nie mieć Boga w sercu. Co się odnosi absolutnie do wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób utrudniają zjednoczenie. Nasi dwaj przeciwnicy, o których poprzednio pisałem, to tylko peryferie tych spraw. W tym zaś miejscu piszę o ludziach, którzy przewodzą temu, co się dzieje. Oni sami w tej rzekomo „politycznej" grze siedzą i nie mogą wprost ścierpieć, że ktoś świadomie i wolną decyzją chce być poza nią. Opornym naprzód się perswaduje, następnie się wysyła skargi do przełożonych a jeśli to wszystko nie pomaga, to — dawnym podniosłym wzorem — „za mordę" i „w kość", żeby się facet nauczył rozumu. Nagle, jak na komendę we wszystkich kawiarniach londyńskich, we wszystkich miejscach plotek zaczynają terkotać języki najgorszymi zarzutami. W tej ostatniej „kalendarzowej" sprawie motywem nagonki jest twierdzenie, iż „Veritas" to konspiracja partyjna, że rządzą w niej endecy, którzy Piłsudskiego nienawidzą. I tylko patrzy się to towarzystwo, czy nacisk jest dostatecznie silny, czy „facet" (bo taki jest żargon tego procederu) ma dosyć i czy skapituluje, przychodząc pod sznurek.

A „Veritas" jest niczyj. Niczyj z ludzi, jeśli chodzi o politykę. „Veritas" robi wszystko, aby być instytucją katolicką i własnością walki o uczciwą Polskę.

Ci, co rozpuszczają zakomenderowane plotki, wiedzą, że mówią nieprawdę. Ale im przecież nie o prawdę czy o nieprawdę chodzi. Tu nie chodzi o to, jaki w rzeczy samej „Veritas" jest. Tu chodzi o to, że nie jest ich, politykierów, że nie jest w grze, że nie jest niczyim narzędziem, że się nie daje wprasować w cegłę uniformistycznego myślenia.

O tym, że całe to gadanie o endeckości jest nieprawdziwe, mówią sterty dowodów. Oczywistych, dłoniastych i łopatologicznych. Gdyśmy jesienią 1952 r. przygotowywali naszą najryzykowniejszą imprezę, „Bibliotekę Polską" i gdyśmy, aby dać polskiemu uchodźstwu polskie słowo, wyskrobywali najdrobniejszy kawałek grosza, organ endecki, „Myśl Polska" z powodu błahostki odszedł z drukarni „Veritasu" i poszedł się drukować do drukarni „Gryfu", do czego miał zresztą pełne prawo. Ale gdyby istotnie na tym odcinku taka sielanka panowała między nami, to by nam chyba ci endecy w takiej chwili nie odbierali tej drobnej pomocy, jaką stanowi dla naszego wysiłku drukowanie obcego pisma. Gdy cztery lata temu staliśmy w centrum znowuż innej nagonki, zarzucającej „Veritasowi" prokomunistyczne ciągoty, „Myśl Polska" łupnęła, ni z tego ni z owego złośliwy artykuł, który właśnie dlatego, że pojawił się tam, był gorszy, niż inne. To wszystko nie są tajemnice. W Londynie wróble o tym ćwierkały. Gdy się te rzeczy działy, kawiarnie londyńskie przepytlowały te sensacje w dziesiątkach późniejszych godzin. Ale przecież w tej grze nie chodzi o to, czy coś jest prawdą, czy nieprawdą. Im chodzi o coś niebotycznie ważniejszego — o coś, co jest ponad prawdą, o — „politykę". Widząc to wszystko, chciało by się krzyknąć: Ludzie, dokąd wy znowu prowadzicie? Co znowu chcecie robić z charakterami polskimi? I z losem Polski?

✦

A teraz jeszcze jedna sprawa, ten naumyślny rokosz. Przyznam się, że właściwie w tej całej ostatniej hecy nic mnie nie dotknęło, ale to jedno mnie dotknęło. Zaiste, to nie byle co za cały trud i harówkę dosłużyć się w oczach współczesnych rangi karła, który na całe tygodnie przykleja się do książek historycznych, aby wyszukać dyskryminacyjną datę i rzucić ją zza węgła na człowieka, który — pomijając wszystko inne — nie żyje i znajduje się na sądzie Bożym. Dystynkcja naprawdę wysoka. Właściwie nie powinienem się jej poziomowi dziwić, przychodzi przecież z posiewu i klimatu „politycznego".

Chcę jednak powiedzieć, że to nie jest nasz klimat duchowy. Chcę powiedzieć coś jeszcze ponadto. W tym niskim poziomie części kół „politycznych" upatruję największe nieszczęście Polski. Największe, bo zależne wyłącznie od nas samych. Nikt, kto się obraca w tej skali myślenia, nie może być dobrym politykiem i dobrze służyć Krajowi. To było największym nieszczęściem Dwudziestolecia, to samo jest naszym nieszczęściem — tu. Przez Dwudziestolecie snuła się ta tragifarsa zwady między dwoma obozami i wysysała każdą drobinę polskiej energii myślowej. Świat stał w przede dniu globowego przełomu, cień zagłady z każdym dniem gęstniał nad Polską, a polskiego umysłu, ostrego jak lancet, nie było w tym kotłowisku, aby się z nim zmagać. Polski umysł polityczny nawet nie rozpoznawał skali czasów, które szły. Bo polskie mózgi zaczopowane były dwudziestoletnią zwadą o głupstwo i jej iluzorycznymi projekcjami, mocarstwowością i ławkowymi gettami.

Sądzę dalej, że jeśli zwada będzie trwać i tutaj, na co się najoczywiściej zanosi, przegramy znowu, chociażby przyszło sto najlepszych koniunktur. Każda w ogóle polityka wymaga wielkiej i skupionej pracy umysłu — jest to dziedzina z natury swej nawskroś i n t e l e k t u a l n a — a polska polityka w szczególności wymaga tego sto razy więcej, bo jest chyba najtrudniejszą polityką świata.*) Gdybym się bawił lub komuś bawić pozwolił wyszukiwaniem uwłaczającej daty na poniżenie człowieka, który jest już historią, miałbym wrażenie, że paplam się w gnoju wtenczas, gdy od naszej czystości zależy los naszego Kraju.

Sądzę, że ta cała akcja „kalendarzowa" była przykładem krzywdy i niesprawiedliwości. Ale nie dlatego rozwodzę się tak długo o tym, że to n a m ta krzywda została wyrządzona, lecz dlatego, że w ogóle jakaś krzywda wyrządzona została, że została podeptana jakaś prawda i próbuje się zniszczyć jakieś pozytywne dobro. Jest rzeczą zdumiewającą, jak w takich apokaliptycznych czasach, jak nasze, każda, nawet najdrobniejsza sprawa,

*) Myśli te znajdą szersze rozwinięcie w szkicu autora niniejszego artykułu p. t. „Myśli o zjednoczeniu emigracji". Pojawi się ten szkic niebawem w ŻYCIU.

(Dokończenie na str. 6)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 17 stycznia 1954

Listy

SUFRAGAN I KOADIUTOR

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z notatką redakcyjną p.t. „Ordynariusz kielecki", ogłoszoną w ŻYCIU Nr 48 z dnia 29. 11. 1953, pozwalam sobie zauważyć, że Panowie podali tę wiadomość znowu nieściśle. W „Annuario Pontificio", w pozycji K i e l c e jest napisane: „Ausiliare: S. E. R. Mons. Francesco Sonik, Vesc. tit. di Margo", co po polsku należy rozumieć: „Sufragan (używa się również po polsku „pomocniczy"): J. E. ks. bp Franciszek Sonik, biskup tyt. Margo".

A więc J. E. ks. bp Sonik jest sufraganem (pomocniczym) a nie koadiutorem kieleckim, jak to Panowie podali.

Również w notatce redakcyjnej ŻYCIA Nr 44 z dnia 1. 11. 1953, zakradła się nieścisłość, gdyż stosownie do „Annuario Pontificio", pozycja K a t o w i c e jest: „Coadiutore con successione: S. E. R. Mons. Erberto Bednorz, Vesc. tit. di Bulla regia", co po polsku należy rozumieć: „Koadiutor z prawem następstwa: J. E. ks. bp Herbert Bednorz, bp tytularny Bulla regia".

A więc J. E. ks. bp Bednorz jest koadiutorem katowickim, a nie sufraganem, jak było mylnie podane w notatce Redakcji.

Podając powyższe proszę Pana Redaktora o podanie powyższych sprostowań do wiadomości publicznej w myśl zasady: utinam finiatur et error.

Łaczę wyrazy mego prawdziwego poważania.

A. W. Gac.

KOŚCIÓŁ POLSKI W LONDYNIE POTRZEBUJE POMOCY

W następstwie gruntownej odbudowy Kościoła Polskiego przy Devonia Road w Londynie, dokonanej w roku ubiegłym (pokrycie nowym dachem, wstawienie witraży itd.) dług ciążący na tej jedynej świątyni będącej własnością polską w Anglii jest dość znaczny.

Społeczeństwo polskie pośpieszyło Kościołowi z wydatną pomocą. Jest to jednakże ciągłe pomoc niewystarczająca. Kościół Polski jest wspólną naszą własnością, jako katolików i jako Polaków. Jest to Polski Dom Boży w Anglii. Każdy zatem emigrant powinien w miarę swych możliwości pośpieszyć Kościołowi Polskiemu w Londynie z pomocą.

Do numeru bieżącego dołączamy karteczki, które łaskawi Ofiarodawcy zechcą wypełnić przesyłając choćby drobne datki na Kościół Polski w Londynie.

REDAKCJA

ZGON JÓZEFA TURCZYŃSKIEGO. Dnia 27 grudnia zmarł w Lozannie w wieku lat 69 znany pianista polski i przyjaciel Paderewskiego Józef Turczyński. Turczyński urodził się w r. 1884, był uczniem F. Busoniego. Od r. 1915-1919 był profesorem konserwatorium w Kijowie, a po pierwszej wojnie światowej, w r. 1920, pracę swą kontynuował jako profesor konserwatorium warszawskiego.

PAMIĘTNIK TOMASZA MERTONA

(Dokończenie ze str. 1)

Ta lekkość udzieliła się mojemu duchowi i odchodząc od ołtarza byłem tak szczęśliwy, że trudno mi było zachować powagę i nie roześmiać się na głos."

KAPŁAŃSTWO

Merton przygotowuje się do ostatniego etapu święceń kapłańskich. Absorbuje go coraz więcej Msza św. Ćwiczy się w jej odprawianiu i rozmyśla nad znaczeniem Ofiary. Interesuje go symboliczne znaczenie kielicha, obrusów i szat liturgicznych, zastanawia się nad znaczeniem każdego ruchu i każdej modlitwy. Istota kapłaństwa narzuca mu się coraz bardziej swą niezgłębioną tajemnicą. Piętnastego maja pisze o swym życiu duchowym i o zbliżającym się kapłaństwie. „Niewiele mogę w tej chwili o tym powiedzieć, oprócz tego może, że Chrystus, Najwyższy Kapłan, zaczyna się budzić w głębi mojej duszy jak mocarz, który zamierza dosięgnąć swego celu. Kiedy ćwiczę się w odprawianiu Mszy św., kiedy stoję u ołtarza jako diakon, zdaję sobie coraz jaśniej sprawę z faktu, że byłoby to niewystarczającym i niewłaściwym, gdybym stojąc przy ołtarzu jako kapłan modlił się do Jezusa w Przenajświętszym Sakramencie z głęboką nawet, ale tylko osobistą miłością i gorliwością... Teraz trzeba czegoś więcej. Zamiast mojego Chrystusa, mojej miłości i mojej modlitwy zjawia się modlitwa o potędze gromu i łagodności lotu gołębia — modlitwa Boskiego Kapłana, który jest głębią duszy każdego kapłana. Modlitwa ta ma moc wstrząsnąć fundamentami wszechświata i unieść ołtarz, Hostię, sanktuarium, ludzi i mnie, kościół, opactwo, las, kontynenty, morza i miasta, światy całe nawet i zanurzyć wszystko w Bogu."

Dwudziestego szóstego maja, w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, Merton zostaje wyświęcony na księdza. Jest to chwila, na którą czekał od pamiętnego dnia, w którym powołanie kapłańskie odezwało się w nim niespodziewanie wśród dźwięków zdartych płyt gramofonowych i gryzącego dymu papierosów. Dopiero w kapłaństwie znajduje Merton dopełnienie swego powołania zakonnego. Jest to również punkt kulminacyjny książki. Chociaż Merton kontynuuje swój pamiętnik jeszcze przez dwa lata, wszystko, co się stało potem, było tylko naturalną konsekwencją nagromadzonych łask i nastawień ugruntowanych i uświęconych charyzmatem kapłaństwa.

O samej ceremonii nie pisze Merton nic. W trzy dni po wyświęceniu zanotował tylko skrót wrażeń z ubiegłych trzech dni. Dowiadujemy się, że w czasie pierwszej swej Mszy św. mógł udzielić Komunii św. sporej grupce swoich przyjaciół, z których wielu nie było jeszcze katolikami, gdy Merton wstępował do klasztoru. Modlił się przy tym za wszystkich czytelników swej autobiografii i za tych, którzy się jego modlitwom polecali. Oto co pisze o Mszy św.: „Msza św. jest najpiękniejszym wydarzeniem mego życia. Kiedy stoję przy ołtarzu, czuję, że nareszcie jestem tym, czym Bóg chciał, żebym się stał. O przejrzystości i spokoju tej najdoskonalszej ofiary niewiele mam do powiedzenia, choć jestem bardzo świadom atmosfery łaski, w której się porusza i którą oddycha kapłan w czasie odprawiania Mszy św. i zresztą przez cały dzień. Prawda, ta specjalna łaska, to coś osobistego i niepodzielnego, ale wynika również ze społecznej natury Mszy św. Największy dar, jaki można otrzymać, to dar współdziałania w tym najdoskonalszym akcie, za pomocą którego miłość Boża zlewa się na wszystkich ludzi. Łaski społeczne i łaski osobiste zbiegają się w ten sposób w osobie kapłana w momencie odprawiania Mszy św., tak jak zbiegają się zawsze w duszy Chrystusa i w sercu Maryi."

„Co za radość pamiętać ludzi, za których się modlę w „memento". Kiedyś, przed święceniami, myślałem, że ta lista imion będzie rozpraszała uwagę. Tymczasem pamięć tych imion potęguje tylko rozżarzone światło mojej duszy."

(Dokończenie w numerze następnym)

H. Szabłowska

INŻYNIEROWIE POLSKICH DUSZ

(Dokończenie ze str. 5)

nawet ten kalendarzowy słoń, sięga aż do trzewi rzeczy i stać się może uogólniającym symbolem.

Polska nie ma za sobą ani siły, ani wojska, ani pieniędzy, ani popularności, ani bomby atomowej. Ma w tym swoim nieszczęsnym położeniu geograficznym tylko jedno: prawdę i słuszność. Przeprowadzić możemy swoją sprawę tylko w świecie, który będzie słuszny i sprawiedliwy. Gdy się psioczy na zdradzieckość aliantów, to podtykamy im bez przerwy te dwie rzeczy: prawdę i sprawiedliwość. Jakże to więc ma być: zasady na wynos, a na wewnątrz inżynieria integralna? A więc metoda zasad moralnych w zależności od koniunktury. Czy tak?

Gdyby ktoś zanalizował znaczne obszary naszego życia „politycznego", drogi, którymi idzie, metody, których używa — to zobaczyłby, jak wiele tu przykładów tej samej techniki inżynieryjnej, którą zastosowano do nas jako narodu: rozpinanie fikcji, podawanie ich za rzeczywistość, żonglowanie półprawdami, intrygami, prawem silniejszego, denuncjacją i szczuciem. Myślę, że taki klimat moralny w niczym nie może przyczynić się do celu, dla którego tu zostaliśmy. W czasach takiej burzy, z której w żaden sposób wymknąć się nie można, ale musi się z nią stanąć twarzą w twarz i całą swoją istotą — trzeba być integralnie jednolitym. Nie można być w kratkę.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Jest mi naprawdę i niewypowiedzianie przykro, że musiałem zająć się tą sprawą i powiedzieć tyle szorstkich rzeczy. Nienawidzę polemik i raczej zmilczę impertynencję, aniżeli bym się miał odgryzać. Ale tym razem zaatakowano rzecz, którą wraz z innymi niosę i w którą włożyliśmy cały sens naszych wygnańczych dni. Muszę ją, jak tylko umiem, osłaniać. Wysłaliśmy w świat ponad 150.000 książek, a przekonałem się w czasie moich wyjazdów w teren tutejszy oraz na kontynent, że one, te książki, robią istotnie to, co się tak buńczucznie tylko we frazesach — postuluje: uczą nie zapominać.

Lecz abstrahując od konieczności obrony, jest mi naprawdę przykra ta wzajemna połajanka. Zwłaszcza dlatego jest mi przykro, że chodzi tu o Zygmunta Nowakowskiego, jedno ze świetniejszych piór polskich, jakie mamy ze sobą. Od lat myślę z melancholią jak błogosławioną mogłoby to pióro pełnić służbę, gdyby było mniej porywcze, bardziej intelektualne i mniej cepiaste. Tak, tak, pisarz, jeśli chce naprawdę służyć, musi umieć przezwyciężać swoje pasje. Każdy bowiem czas wymaga innych metod.

a. Polityka

Naprzód te inne metody w obecnej polityce. Rozdział Dwudziestolecia, nawet gdyby liczyć przyległości wojenne, jest rozdziałem zamkniętym. To już historia. Pozwólmy jej trwać i czekać na sąd lepszych czasów. Były w tym Dwudziestoleciu rzeczy wspaniałe, skrzydlate, ale były i złe, a nawet podłe. Przyszłość będzie sądzić. Od pierwszych chwil na emigracji stałem na stanowisku, aby w czasie naszej walki o wolność mówić o rzeczach dobrych, a o złych milczeć, oddając sąd przyszłym pokoleniom. Ale w tych sprawach musi obowiązywać gentleman agreement; musi ta zasada obowiązywać w obie strony. Praktyka gloryfikowania pod sznurek wszystkiego jaką się zaczyna par force stosować, wywoła tylko jeden skutek: otworzy znowu bajora smrodliwej zwady. Proszę popatrzeć, jakie spusty głupiej a obustronnej histerii otworzył ostatni felieton, proszę przeczytać listy, które otrzymaliśmy z poparciem rzekomego naszego stanowiska i z jego potępieniem, proszę zastanowić się nad poziomem listów na ten temat drukowanych w „Dzienniku Polskim".

Politykę stada baranów trudno jednak na dłuższą metę stosować wobec narodu takiego jak Polacy. Publicysta z „Orła Białego" uczuł się dotknięty tym, że zwycięstwo 1920 roku nazwaliśmy „bitwą pod Radzyminem i Cudem nad Wisłą". Pewno pogniewał się o to, że tego zwycięstwa nie nazwano nazwiskiem Naczelnego Wodza. A jeżeli ja wolę nazwać to zwycięstwo cudem, to jaka jest jedna choćby dobra racja po temu, aby mi tego zabronić? Od razu jestem złym Polakiem? Niech tedy historia wyważa się sama na głębiach czasu, my dziś mamy do roboty coś niepomiernie ważniejszego, niż jej sądy zastępować.

Jest to, być może, nienormalność, ale ja ani rusz nie umiem zdobyć się na nienawiść wobec wybitnych ludzi Dwudziestolecia. W mojej pamięci ma miejsce i Piłsudski i Dmowski i wszyscy, którzy kochali Polskę. Wcale nie potrzebuję nienawidzieć jednych po to, aby kochać drugich. Raczej w tej chwili wybija się u mnie na plan pierwszy stosunek rozumowy do tych czasów, szczęśliwych zresztą czasów mojego życia. Zamykam jednak ten rozdział jak najmocniej. Czynię to dlatego, aby móc się na tym skończonym czasie, jak na laboratoryjnym preparacie, uczyć. Nie można uczyć się dobrze z rzeczywistości, w której się po czubek głowy tkwi, uczyć się naprawdę można dopiero, gdy się jest już poza nią.

Wyciągam z tych lekcji szereg nauk dla siebie. Oto one: przed Polakami stoi zadanie jeszcze trudniejsze, niż przed pierwszą wojną światową; do jego wykonania potrzeba charakteru i mózgu; ponadludzkiego charakteru i ponadludzkiego mózgu; na tym padole łez udaje się ponadludzkość ziemską uzyskać tylko w jeden sposób — przez zestrzelenie wspólnych zasobów w jedno, gdy ani jedna uncja substancji charakteru i substancji mózgu nie idzie na rzeczy uboczne, na przykład na kłótnie. Dlatego — wydaje mi się — powinniśmy wszyscy, którzy mamy ten sam cel i tak samo przestrzennie widzimy Polskę — być razem. Zejść się razem i pracować razem. Wszyscy. Bez klucza i zajadłości „politycznej".

To jedno.

b. Katolicyzm

Druga sprawa, to katolicyzm. Zygmunt Nowakowski nie lubi Kościoła. Ma za złe Kościołowi Powszechnemu, że jest złożony nie z aniołów, lecz z ludzi. Ale nie docenia on ziaren wzrostu w tym bosko-ludzkim tworze, który został powołany z nicości nie dla splendoru duchów świetlistych, tylko dla małych, nędznych i ułomnych, aby siłami wzrostu ciągnąć ich w górę. Nie rozumie, że punkt krzyżowy naszego czasu leży w tych ziarnach. One stworzyły naszą cywilizację i one tylko mogą ją ratować. Nic innego. Zygmunt Nowakowski wpycha szpile w Kościół katolicki, gdzie może i ile może. Nie je, co prawda, w wilię rosołu, ale katolicyzm nie zasadza się ostatecznie na sprawach jedzenia czy niejedzenia rosołu.

Demagogia, to nie jest Wielka Sztuka. Jakże daleko jesteśmy od „Przylądka Dobrej Nadziei", jak dawno przekroczyliśmy „Rubikon", jak bardzo w tyle został nawet, nawet okres „Ikaca", a jak blisko jesteśmy małostkowej demagogii. Łapię się ze zdumieniem na myśli, jaka to właściwie Mała Sztuka być demagogiem. Myślę dalej, jakby to łatwo było tę prywatną wojnę felietonisty „Dziennika Polskiego" z katolicyzmem rozhuśtać i roztańczyć i rozhulać, tylko z o ileż grutowniejszą podstawą. Felietonisty pisma, które często a gęsto rozkłada na wszystkich swoich stronach, z drugą włącznie, tematy katolickie, a podtrzymuje pisarza, który nietaktownymi żartami bezustannie uraża uczucia katolików. Teraz? W tej sytuacji, gdy Tam jest tak, jak jest? Albo wspomnieć dalekowzroczne zachwyty Zygmunta Nowakowskiego nad polskim kościołem narodowym. Ładnie by dziś Polska wyglądała, gdyby miała taki kościół! I co by dał dziś za to Bierut, żeby nie trzeba się tak było męczyć, ale mieć od razu to, czego tak bardzo chce. Jeszcze przed kilku przecież tygodniami z wybitnym zaiste taktem stwierdzał Nowakowski, że z Polski uciekają przez zieloną granicę zwykli ludzie, ale nie słychać o tym, aby uciekali uczeni, artyści albo księża... Księża w Polsce, te drobne 99 ich procent, którzy niosą Kościół polski na swych ramionach — jeśli idą przez granicę, to idą przez czarną granicę więzienia, lochu lub pola egzekucyjnego. Na zielono chodzić im się nie godzi. Są na służbie. Na służbie Kościoła Bożego.

Mogę to nawet zrozumieć, że przy takim nastroju pisarza przymiotnik „katolicki" obok nazwy Ośrodka Wydawniczego może przeszkadzać w bezstronnej ocenie. Lecz, jeśli się zna swoją słabość, to lepiej takie tematy niechać. Bo po takiej nagonce, jak ostatnia, katolicy mogą dojść do wniosku, że to dlatego ten cały napad miał miejsce, ponieważ to o katolicką instytucję chodzi. Ponieważ wzrost katolickiej działalności jest dla pewnych kół drażniący, ponieważ antyklerykalny uraz nie może znieść, że to katolicka książka syci głód polskiego słowa. A że wprost uderzyć na katolicką instytucję nie było by w tej chwili poręcznie, czyni się więc to pod zmyślonym pozorem. Rozumiem, że działalność naszej instytucji może pewne podniebienia drażnić. Ale na to jest tylko jedna, jedyna rada: robić to samo — harować.

c. Fair play

Wreszcie sprawa — fair play. Można nawet uważać, że konwenans dobrego wychowania, to przeżytek, dobry dla starych ciotek. Ale głośno tego jeszcze nie wypada pokazywać. Może dojdziemy kiedyś, ale jeszcześmy do tego nie doszli. Jeszcze są rzeczy, których robić się nie godzi. Moim zdaniem, nie wypadało zrzynać „Kalendarza" „Veritasu" na łamach pisma, które samo swój kalendarz wydaje. Zygmunt Nowakowski ma otwarte drogi do każdego pisma na emigracji. Jeśli już tak namiętnie chciało mu się „Veritasowi" napsioczyć, to mógł chyba użyć sobie gdzie indziej. Bo później wygląda osobliwie, gdy Kalendarz Dziennika Polskiego" ma również „błędy", które zarzuca się konkurentowi. A już zupełnie najosobliwiej, gdy po przeglądnięciu „Kalendarza Dziennika Polskiego" okazuje się, że np. w roczniku tego Kalendarza na r. 1953, rok, w którym Nowakowski pisał swój felieton, nie ma ani żadnych Monte Cassin i Falaise'ów, nie ma owych żywych i umarłych, których na 120 wierszach chciał mieć Nowakowski, a także — co już jest swoistym rekordem — nie ma w tym roczniku „Kalendarza" daty 11 listopada. Pojawia się ta data w bieżącym. W „Kalendarzu Dziennika Polskiego" na r. 1953 jest, co prawda, Dzień Niepodległości Izraela (str. 19), ale dnia niepodległości Polski — nie ma. Ja wiem, ja wiem, to może przeczulenie moje i staroświeckość, to pewnie papizm i ultramontanizm, ale — co tu gadać — to jest także...

Dejmy temu zresztą już pokój. Napisałem, co myślałem, aby bronić mojej i moich kolegów pracy. I dosyć. Niczego bym bardziej nie pragnął, jak tego, żeby tej całej sprawy nie było. Wiem, że wszyscy trochę fiksujemy z tęsknoty i nostalgii i w gruncie rzeczy na dnie serca i czerepów rubasznych chcemy jak najlepiej, tylko nie zawsze mamy tyle siły woli, aby to „najlepiej" robić. Przecież wszyscy rozglądamy się po tej szarzyźnie emigracyjnej i widzimy, jak jeden po drugim spośród naszych roczników kładzie się do trumny. Jak trumny odprowadzają na cmentarz tylko rówieśni, bo młodzież zostaje w mieście. Rówieśni, którzy między szeptami „Zdrowasiek" rozglądają się melancholicznie po zebranych: „Kto następny?" A pytanie właściwe powinno brzmieć, zwłaszcza, zwłaszcza pytanie pisarza: „Co my tym młodym zostawimy, gdy się przyjdzie kłaść — ideał inżynierii, czy ideał służby, wzór żarcia się, czy wzór zgody? Trzeźwej, rozumnej, niesentymentalnej, a mocnej zgody. I chyba — odrobiny wzajemnej miłości?"

Słowem, nikomu z nas nie zawadzi zaglądać do własnego sumienia. Wszystkim, to znaczy i nam także, bo gdzież jest człowiek bez grzechu a dzieło bez błędu. Ale w tym konkretnym, kalendarzowym wypadku, pragnąłbym, aby do swych sumień zajrzeli i twórcy „tła politycznego" i autorzy artykułów i ci, co się dali autorom zwieść i rozpuszczali języki, jak wrzeciona.

Józef Kisielewski

JEDNA Z KOŃCOWYCH STRON „KALENDARZA RODZINY POLSKIEJ"

Z WIERSZEM ŻOŁNIERZA LEGIONÓW — JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

Testament

Synkowie moi poszedłem w bój,
Jako wasz dziadek a ojciec mój
Jak ojca ojciec i ojca dziad,
Co z legionami przemierzył świat,
Szukając drogi przez krew i blizny
Do naszej wolnej Ojczyzny.

Synkowie moi! Da nam to Bóg,
Że wreszcie spadną kajdany z nóg
I, nim wy męskich dojdziecie sił,
Jawą się stanie, co pradziad śnił.
Szczęściem zakwitnie krwią wieków żyzny
Łan naszej wolnej Ojczyzny.

Synkowie moi! Lecz gdyby Pan
Nie dał wnijść zorzy z krwi naszych ran
To jeszcze w piersiach waszych jest krew
Na nowy świętej wolności siew,
I wy pójdziecie, pomni spuścizny
Na bój, dla naszej Ojczyzny

Jerzy Żuławski

Pięć wieków poezji polskiej w wyborze nieprześcignionego jej znawcy zawiera:

WACŁAWA BOROWEGO

ANTOLOGIA LIRYKI POLSKIEJ

Cena w przedpłacie, którą przyjmujemy tylko do końca stycznia b.r.

a) dla abonentów, którzy w roku ubiegłym subskrybowali conajmniej 6 tomów BIBLIOTEKI POLSKIEJ 9/- z przesyłką,

b) dla abonentów, którzy do końca stycznia b.r. wpłacą z góry należność za conajmniej 6 tomów zapowiedzianych na rok bieżący 9/- z przesyłką,

c) dla dorywczych subskrybentów 18/- z przesyłką. Po ukazaniu się książka posztować będzie 30/-.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. . Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d. kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku ameryańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0. w tekście — 50 % drożej, na stronie tytułowej — 100 % drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Av. Leandro N. Alem, 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. — 80 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella"** Librairie, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P.M.K.**, Schorsmolenstraat, 9. Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers Suite**, 1, Western Ave., Montreal 6 oraz **International Book Service**, 220, Queen Street W., Toronto 1 **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr. 4, Bar. 16 B/2 (13 B), München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quackenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: B. Łubiński, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gdyf Publications"** — 615 Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski** — 13171 McDougall, Detroit 12, Mich. oraz **J. Stojanowska**, 83, East 22nd Street, Bayonne, N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761, Filimore Ave. Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00 SZWAJCARIA. **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski** — Lund, Revigegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska** — via Salaria 300 C, Roma.

Printed by: **Veritas Foundation Press**, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.